

kamena

NR 5 (877)

8 marca 1987

Cena 20 zł

**Miłość
mu
dała**

str. 12

8 MARCA



DAMA BYĆ

z notatnika

20 II. Odnoszę wrażenie, że niektórzy moi koledzy, dziennikarze, mają rozdwojenie jaźni. Z jednej strony gromko walczą z prowincjonalizmem, a z drugiej sami wpadają w sidła, które zastawiają na innych. Ową prowincjonalizm objawia się niekiedy w bardzo pociesznej postaci. Oto na łamach pisma (warszawskiego, krakowskiego — niepotrzebnie skreślić) Iksińska czy Iksiński poświęca kilka ciepłych słów jakiemuś wydarzeniu (?) kulturalnemu w Lublinie. Pojem można przeczytać w lubelskim dzienniku: „Przebijamy się (powoli)”. Nie tylko zanuć: O, mój przebiśniegu, rozwijaj się!

Notki krytyczne na temat naszego miasta znacznie rzadziej znajdują już taki rezonans, czemu dziwić się nie należy, bo zawsze milej, gdy nas chwalamy, niż ganią. „Dobijają nas (powoli)!” — taki tytuł brzmiałby jak anons dreszczowca. A kysz!

21 II. „Plotkarnię lubelską” w dzisiejszym, sobotnim magazynie „Standardu Ludu” przygotowali nowi autorzy: Korek i Butelka. O zawartości butelki może świadczyć notka pt. „Co u nas”, z której dowiadujemy się, że C. „wydrukowała się” w ogólnopolskim (ho, ho!) piśmie literatury faktu „Reporter”, W. pisze na zamówienie „Expressu reporterów”, M. wydał tom reportaży zaś P. — wstęp do książki Ireneusza Szymańskiego „Tak to widzę”. Pytanie, jakie na zakończenie tej notki stawia Butelka (Korek?) brzmi: która z wyżej wymienionych osób żyje oprócz tego z plotek? Mógłbym z ochotą odpowiedzieć, ale plotka (vide: Słownik języka polskiego) to niesprawdzona lub kłamliwa pogłoska, wiadomość powtarzana z ust do ust, najczęściej szkodząca czyjejś opinii. Ani C., ani W., ani M., których cenię i lubię (ale to w dalszym wypadku mało istotne), nigdy nie posadzałbym o taki właśnie sposób dorabiania na życie. A swoją drogą co to za plotka, skoro demontuje ją już samo otwarcie książki Irosława Szymańskiego na stronie ósmej? Tak, tak, Irosława, nie Ireneusza, jak podał Butelka (Korek?). Pozostałe imiona ukazały się już w poprawnym brzmieniu: najwidoczniej, gdy je pisano, korek tkwił jeszcze w butelce.

25 II. Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie, mgr Tade-

usz Pokrzycki, zaprosił przedstawicieli kierownictwa miejscowych środków masowego przekazu. „Tematem spotkania (z kierownictwem Prezydium MRN) — głosiło zaproszenie — będzie informacja o dotychczasowych dokonaniach Rady i jej organów oraz planowanych działaniach na 1987 r.”.

Posłuchałem, zabierałem głos w dyskusji wyrażając wątpliwość, czy trzeba tyle uwagi poświęcić obchodom 670 rocznicy nadania Lublinowi praw miejskich. Rozumiem: dwadzieścia lat temu obchodziliśmy 650 rocznicę, 650 to nie 670. Za lat dziesięć, jeśli ten świat przetrwa, pojawi się nowa liczba: 680, za lat dwadzieścia — 690. W tzw. międzyczasie, czyli w 1989 r., przypadnie 50-lecie Września '39 i 45-lecie Polski Ludowej, mamy więc co upamiętnić i w najbliższej przyszłości rocznicę nam nie zabraknie. Przekonywano mnie jednak (przekonywano, co nie znaczy, że przekonano), iż to 670-lecie może stać się dobrą okazją do aktywizacji czynów społecznych na rzecz miasta, a także pogłębienia, zwłaszcza wśród młodych obywateli, wiedzy o jego przeszłości. Szybko zareplikowałem, że z tymi czynami społecznymi nie trzeba było czekać do lata; tegoroczny styczeń dobry nam dał w kość, a jak wyglądały ulice i osiedla Lublina w tym czasie, wiemy aż nadto dobrze. Jednocześnie dodałem, że kiedy mówimy o aktywizacji czynów społecznych, warto je powiązać z zapowiedzianą wizytą papieża w Lublinie. Czystość porządek to cel szlachetny. Intencje władz miejskich i władz kościelnych mogłyby na tym polu współpracować.

Pogadaliśmy sobie o różnych sprawach, trochę lepiej poznaliśmy wzajemnie, spostrzegając przy okazji, że jest to pierwsze, choć od wyborów do rady miejskiej już sporo czasu minęło. A swoją drogą nie bardzo mogę sobie przypomnieć, czy w poprzedniej kadencji również zebrał się w podobnym gronie. Przewodniczący MRN nie powinien już walkowerem oddawać inicjatywy prezydentowi miasta, którego kontakty z prasą są z pewnością szersze...

Niemniej początek został zrobiony, ramowy plan obchodów 670-lecia nadania Lublinowi praw miejskich mamy, propozycji jest sporo, z imprez zebranych w rubryce „ogólnomiejskie” najbardziej popieram... międzyosiedlowy konkurs czystości. Kiedyś LSM by-

ła wizytówką miasta, autokary przywoziły gości z całej Polski, i nie tylko z Polski, podziwiali oni piękne zielone, dorodne kwiaty, fikuśne balkony. Dziś większe zainteresowanie mogłyby wzbudzić ogródki działkowe, powstałe za osiedlami im. Sienkiewicza i im. Konopnickiej, które koją oczy niektórych planistów, pragnących tu widzieć park. Park nie stanie jednak w ciągu jednego roku... A do Parku Ludowego przy Al. Świerczewskiego strach wejść nawet w letnie południe!

26 II. Trzydziestolecie Wydawnictwa Lubelskiego obchodziliśmy z należytą atencją. Na otwarcie wystawy obrazującej dorobek WL (można ją oglądać w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki przy Krakowskim Przedmieściu), przybyli, jak zwykle się mówi, przedstawiciele świata kultury, władz administracyjnych i politycznych; później w klubie Pod Strzechą udekorowano odznaczonych. Wspomnę tu, że Ireneusz Cabana otrzymał Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, a krzyże kawalerskie trzy panie: Zofia Kruszelnicka, Zofia Wójcikowska i Alicja Zagórska-Czarnecka. Odczytano list od ministra kultury i sztuki do wydawnictwa, list od ministra otrzymał również Ryszard Dunin, wieloletni sekretarz WL, w latach 1957—1960 — prezes zarządu Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, z której to spółdzielni w styczniu 1961 r. powstało WL. Przypomnę, że poprzednikami obecnego dyrektora, Ireneusza Cabana, byli: Roman Rosiak (dziś już nieżyjący), Zbigniew Kościński i Paweł Dąbek. Trzydzieści lat i pięciu szefów. Dziękuję trzydziści przez pięć otrzymamy liczbę sześć, ale ona niczego właściwie nie mówi, bo np. obecny dyrektor (z krótką przerwą w czasie burzy i naporu, kiedy to piastował funkcję sekretarza propagandy KW PZPR w Lublinie) już też „średnią” o kilka lat przekroczył i niech przekracza dalej, bo radzi sobie całkiem nieźle...

Pod Strzechą i ja gościłem, obyczaj jednak dzisiaj inne, toteż posiłek był raczej skromny, ale nic nie stało na przeszkodzie, aby każdy mógł wzmacniać siły korzystając z zawartości własnego portfela. Albo portfele już nie te, albo zdrowie w narodzie podupadło, albo wiatr wiał od wschodu, faktem jest, że klub opróżnił się nadszpędziewanie szybko, zwłaszcza że nie stało przedstawicieli wspomnianych wyżej władz, z którymi niegdyś można było w swobodnej atmosferze o tym czy o tamtym pogadać, to i owo na gorąco załatwić. Ale, jak mówi poeta, nie czas żałować róż...

27 II. W dość operetkowy sposób zostały zniesione sankcje amerykańskie wobec naszego kraju. Ale faktem

jest, że sytuacja uległa normalizacji. Kazimierz Zarzycki na łamach tygodnika „Tak i Nie” zwraca uwagę, że teraz przed polskimi kołami gospodarczymi i specjalistami do spraw handlu zagranicznego nie tylko poszerza się pole działalności, co jest samo w sobie rzeczą optymistyczną, lecz jawią się ogromne niebezpieczeństwa dla postaw i postaci jałowych, schematycznych, głupawych i nijakich. Przez pewien czas można powoływać się na skutki owych restrykcji, ale na dłuższą jednak metę wychodzi z obciążenia bardzo wygodne tłumaczenie niemocy, inercji, nieprzystosowania, zwyczajnego zagubienia w międzynarodowych stosunkach handlowych. Zdaniem autora, będziemy świadkami najprzeróżniejszych tłumaczeń, kalamburów i niesprawdzalnych argumentów, ponieważ cały nasz aparat handlu zagranicznego, a i służb dyplomatycznych i konsularnych jest nieudolny, opóźniony w reakcjach, nastawiony na dobro własne, nie rozumiejący, że w dobie kryzysu, przeżywanego przez cały naród, także on musi ponosić określone ofiary i pracować po kosztach niższych. A jeśli tego nie potrafi, powinien ustępować pola jednostkom bardzo przedsiębiorczym oraz zaangażowanym patriotycznie i ideowo.

K. Zarzycki używa mocnych słów (pryncypialnych — tak je określa), o wiera się na własnych smutnych doświadczeniach. W przeszłości poza granicami Polski spotykał się z przedstawicielami naszych służb dyplomatycznych i handlowych. Zauważył ich interesowność i małostkowość. Łowców synekur — stwierdza — dyplomatycznych i gospodarczych ze styku Polska — zagranica żadna siła nie jest w stanie odmienić.

Więc co? Trzeba bezradnie rozłożyć ręce? A Zarzycki jest jednak mimo wszystko optymistą. Wraz z nastaniem nowego etapu, znaczonego usunięciem restrykcji, przed polskim aparatem służb dyplomatycznych i handlowych nakierowanych na współpracę z zagranicą, pojawiają się ogromnie poważne zadania. Przepadać będą z kretesem indolentni menedżerowie, wycofywani będą do kraju, albo i całkiem na margines, ludzie nieprzebiegawcy, albo wysyłani za granicę „dla świętego spokoju”. Oczywiście, nie zawsze od razu. Taką jednak prawidłowość da się zauważyć po niewielkim upływie czasu...

Pozyjemy, zobaczymy. Jeśli jednak istotnie jest tak, jak pisze K. Zarzycki, porządek trzeba robić jak najszybciej, bo z powodu nieudolności X-a czy Y-a wszyscy znów dostaniemy po grzbiecie. Tu, w kraju!

Dokończenie na str. 10

Na wschód od Bugu

◆ „Sowiecka kultura” opublikowała tekst wystąpienia radzieckiego poety, Andrieja Wozniesińskiego, na niedawnym moskiewskim forum „O świat bez broni jądrowej, o przetrwanie ludzkości”.

„Widzicie wokół siebie — stwierdził m. in. poeta zwracając się do uczestników obrad — gościnnie uśmiechy, piękne pomniki architektury, nie myślcie jednak, że u nas panuje cisza i spokój. Chcę, abyście zrozumieli dzisiejszą, dramatyczną treść naszego życia, trudny, nowy, rewolucyjny proces w nim zachodzący. W ZSRR następuje duchowa rewolucja, walka na śmierć i życie, walka nowego myślenia z bardzo silną jeszcze wsteczną, bierną warstwą. To nie jest „rewolucja kulturalna”, lecz rewolucja przez kulturę. Nie chcę powiedzieć, że wszystko już w porządku, lecz proces się zaczął, podąża we właściwym kierunku. Jest to trudna, ciężka droga, jednakże my z niej już nie zawrócimy.

Jest to nie tylko nasz renesans, jeśli chodzi o wydawanie książek, kiedy to po raz pierwszy drukujemy Nabokowa, Hadasiewicza, Gumilewa, to także ostra, bezpośrednia krytyka w telewizji zjawisk biurokracji, to powrót do zapomnianej filozofii wewnętrznego świata człowieka. Jest to walka o demokratyzację wszystkich sfer życia. Celem — nie dogmatyczne, wywołujące cierpkie formuły, lecz człowiek, osobowość, ogólnoludzkie wartości. Wielu z nas widziało film „Pokutnia”. Jest to nie tylko opowieść o zbrodniach znanej epoki, to również film o psychologii despotyzmu i braku człowieczeństwa w ogóle. [...]

Co może nam przeszkodzić? Nie tylko działająca hamująco potwór biurokracji, nie tylko tępota inercji starego myślenia. Mam nadzieję, że nasz naród to pokona. Zniszczyć może wszystko wyścig zbrojeń nuklearnych — i nasze odrodzenie, i kulturę, i rodzaj ludzkości w ogóle”.

◆ „Myśleć działać, uczyć się” — pod takim tytułem „Komsomolska Prawda” zamieszcza rozważania Giennadija Jagodina, ministra szkolnictwa wyższego i średniego zawodowego ZSRR na temat przebudowy w resorcie.

„Niezbędne — stwierdza minister — jest tworzenie w uczelni atmosfery życzliwości, trzeba wykorzystać zjawisko traktowania studenta »z góry«. Lekceważenie go, zarozumiały, mentorski ton, obrażanie — wszystko to wywołuje wręcz odwrotną reakcję. Jeśli wykładowca mówi, że w jego grupie są sami bumelanci, to wątpię, czy jest on dobrym nauczycielem. Przecież i od niego zależy, jak się uczy jego podopieczni. Jeśli wykładowca mówi, że nikt go nie słucha, to czy winni są temu tylko słuchacze? Niska jakość pracy pedagogicznej obniża jakość przygotowania zawodowego absolwenta, ma również negatywny wpływ na ogólny proces wychowawczy. [...] Nikogo nie można nauczyć siłą. Można tylko się nauczyć. Nauczycielem jest nie ten, który uczy, lecz ten, u kogo się uczy. Główną przeszkodą w nadszerzaniu praktyki samodzielnego przyswajania sobie wiedzy jest inercja myślenia wykładowców, którzy przez wiele lat referowali tylko treści podręczników, którzy sami zostali w ten sposób wykształceni. W świadomości większości nauczycieli mocno zakorzenił się pogląd: im więcej naopowiadamy studentowi na wykładzie, tym lepiej będzie znał zagadnienie. To zupełnie nie tak. Samodzielnej pracy trzeba uczyć. [...] Wykładowca powinien uważnie śledzić wykonanie samodzielnych zadań w trakcie obowiązkowych rozmów ze studentem bądź najwyżej

z grupą trzech, czterech osób. Takie rozmowy nie mogą mieć charakteru egzaminu, lecz muszą posiadać formę koleżeńską, zadowolającej obie strony, interesującej wymiany poglądów. [...] Słuszne są głosy mówiące, że system doboru wykładowców, istniejący dotychczas, już się przeżył. W opublikowanym przez KC KPZR projekcie reformy szkolnictwa wyższego proponuje się w związku z tym wybór wykładowców w drodze konkursu”.

◆ Prof. Tatiana Zaslawska z Syberyjskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR pisze na łamach dziennika „Prawda”:

„Powiedzmy wprost: przez długi czas nauki społeczne znajdowały się nie w awangardzie, lecz w arriergardzie społeczeństwa. W gruncie rzeczy wlokły się one w tyle za praktyką, ograniczając się w znacznej mierze do powtarzania, wyjaśniania i aprobowania już powziętych decyzji partyjnych. Obecnie staje się to niemożliwe. Nauka powinna badać i naświetlać nie tylko przebyte już odcinki drogi, lecz i te, które są przed nami, powinna zawczasu uprzedzać społeczeństwo o oczekujących jej trudnościach, opracowywać alternatywne warianty decyzji oraz uzasadniać wybór najlepszych. Tak ukierunkowana działalność naukowa nie tylko może się stać, lecz w rzeczywistości staje się jedną z aktywnych sił napędowych, ogromnie ważnym instrumentem przebudowy. [...] Ja osobiście spotkałam się z ograniczeniami, zarówno co do przedmiotów zamierzonego badania, jak i co do treści badanych problemów. Były okresy, kiedy łatwiej było chyba wyliczyć to, co wolno badać, niż to, czego nie zalecano. [...] Przy utrzymaniu takich ograniczeń nie można poważnie oczekiwać od nauki efektywnych rekomendacji. Chcąc stawiać wysokie wymagania, trzeba nie tylko zezwalać na badania najboleśniejszych i najszerszych problemów, wymagających jak najwyższego rozwiązania, lecz także witać z zadowoleniem takie badania, zachęcać do nich, zamawiać je. Światło badań socjologicznych powinno przeniknąć do najtajniejszych zakątków życia społecznego, obnażyć nagromadzony brud i zachęcić do szybkiego zaprowadzenia czystości w naszym wspólnym domu”.

Wiersze Zuzanny Przeworskiej

OBRONA WŁASNOŚCI

Miłość jest naszą ostatnią szansą
(Louis Aragon)

Ani ja, ani ty nie możemy mówić
mówiąc — czytamy gazetę
Umielemy z siebie czytać
jak z książki telefonicznej
ale ty i ja myślimy o różnych numerach

mówimy o sobie
tacy jesteśmy dobrzy i przewrotni
że aż możemy być razem będąc osobno
i to jest nasze zwycięstwo i nasza klęska
jesteśmy osobno będąc razem
i wciąż mnie szukasz choć jestem przy tobie

są już zastawione stoły na nasze przyjęcie

czekam na ciebie jak ktoś
kto czeka na rentę bo tylko tyle może dostać
z pamięci na pamięć uczyć się siebie
w codziennej modlitwie
rachunku strat i zysków
bo one mi dają prawo do ochrony własności

miejsca przy stołach są naszym punktem
oparcia i ocaleniem

mówimy w sobie bo nie stać nas by mówić głośno
przed sobą jeszcze jedną szansę mamy
— szeplem wypowiedz siebie i zaległe słowa

trafiają na stoły dla wszystkich

Zawsze czekam na osobę
obojętnie CO
jakby wszystko nadawało się
do gazety
zabójstwo samobójstwo i kradzież
woisuje się we mnie

ulga i napięciem z połu i krwi

ale tak naprawdę
to wpisuje się we mnie
wzruszenie i podanie rąk
spłecionych kochanków
miłosny spazm
płacz dziecka z radości
uśmiech wroga na sprzedaż
coraz bardziej wyblakły

To do mnie przemawia
i rozmawia ze mną
zza tej ściany dobiega i obejmuje
szeplem
od którego siwieje serce



Rys. Edward Ingłot

IDĘ

Idę za swoim cieniem
drogowskazem milczenia
i jestem silna walkami
które wciąż staczam
na próżno

codziennie odświeżam
starzejące się
wnętrze
jak czyszczę czcionki
w maszynie codziennie

A kiedy połączę się
rozmową z cieniem
aby być
i minie noc
i minie dzień
będę dalej szła
aby ktoś
w końcu
spojrzył mi prosto
w serce

Odwracasz twarz w obcym lustrze
swojej twarzy
w której dotąd ty się odbijałeś

To niemożliwe
teby to co dotąd nas
łączyło
oddalało się
jak echo
odzywając się
w naszych spojrzeń
bo ręce mamy
spłecione we własnych
kieszeniach
i myślach bliskich
w których tak daleko
odeszliśmy od siebie

Patrzę na ciebie
w ciszy ale nie w milczeniu
już słów mi nie brakuje
jest odległość do ciebie
w którą wątpiłam i nigdy
nie mogłam odmierzyć

Naszej miłości nigdy nie było
skoro jej dzisiaj nie ma
pękło lustro i zaszklily się
odłamkami
w bliznach na twojej i mojej
twarzy

Jesteśmy rozpoznawalni
wróciliśmy z miłości

BYC kobietą w Polsce to znaczy mieć takie same prawa jak mężczyzna, a ponadto prawo specjalne, zredagowane przez biologię i tradycję kulturową: do pracy na dwóch etatach — zawodowym i domowym. Kobiety stanowią prawie 43 proc. ogółu zatrudnionych (poza rolnictwem), co tłumaczy się na imponującą liczbę ponad 5,1 mln dam trudniących się fizycznie lub umysłowo, a kurat po polowie tak zapracowanych. Kobiety są wszędzie, w niektórych działach gospodarki wręcz dominują. Widać to gołym okiem, ale nie zaszkodzi odwołać się do statystyki (za rok 1982), opublikowanej przez znawcę problemu, Adama Kurzynowskiego, który odnotował, że w handlu kobiety stanowiły 71 proc. pracowników, w oświacie i wychowaniu — 76, w ochronie zdrowia — ponad 83, administracji państwowej — 61, finansach i ubezpieczeniach — aż 84 procent. Tymczasem nie można jeszcze mówić o feminizacji przemysłu (36 proc.), budownictwa oraz transportu i łączności (po 18 proc.).

W zdecydowanej większości nasze panie pracujące zawodowo są mężatkami (3,9 mln ze wspomnianych 5,1 mln), podczas gdy przed wojną takim stanem cywilnym chwaliło się tylko 170 tys. Polek zatrudnionych poza rolnictwem. Rodzina zaś to obowiązki i ciut radości.

Dodajmy, że kobiety na etatach wykonują od 70 do 90 proc. wszystkich prac domowych, a zatem tyrają prawie za dwóch.

Przeciętna Polka wydaje się być zatem osobą tyle dzielną, co zagoniona: pracuje w fabryce lub urzędzie, w szpitalu albo w sklepie, pierze, gotuje, sprząta mieszkanie, a w wolnych chwilach „dysząc rodzi owoc męskiej żądzy”, który następnie nianczy (z pomocą dziadków, choć coraz częściej pradiadków), wychowuje, kieruje do szkoły. Żyć nie umierać, bo żyć dla rodziny trzeba. Interesujące, że szczególnie intensywnie angażują się w gospodarstwo domowe kobiety o wyższych ambicjach zawodowych. „Jest to objaw kompleksu, utajonego poczucia winy wobec rodziny z powodu emocjonalnego zaangażowania w sprawy zawodowe” — wyjaśnia Danuta Markowska.

Mówi się, że taka sytuacja osłabia więzi rodzinne, źle wpływa na samopoczucie potomstwa. I sugeruje się zrazem powrót, w jakiejś zmodyfikowanej formie, do starego modelu ogniska domowego, podtrzymywanego

przez matkę-Polkę, która nie pracuje zawodowo, dzieci dogląda, specjalizuje się w przyrządzaniu smakolepsów wedle babczyńskich receptur i w robotach ręcznych na drutach. Przy okazji wyjaśnia się, że nasza tradycja paternalistyczna — ojciec jako głowa rodziny — była łagodna, dyskretnie acz skutecznie zabarwiona „feminizmem”. Podobno starzy Polacy tylko dla pucu udawali wszystko trzymających w ręku twardzieli, a po prawdzie to w sprawach ważnych zawsze respektowali rady swych żon. Do naszych stosunków rodzinno-mażeńskich idealnie pasować miało powiedzenie: „My rządymy światem, a nami kobiety”. W ogóle niewiasty mieliśmy dzielne; kiedy historia wzywała je do apelu, mężnie stawały w potrzebie...

Ze polską przeszłość oznaczają też czyny kobiet odważnych i mądrych, dowodzić nie trzeba. „To Litwinka, dziewica-bohater Wódz powstańców — Emilia Plater”, pisał poeta, który przecież przy innej okazji demonstrował klepskie mniemanie o damach. Trudno natomiast udowodnić, że życie społeczne dawnej Rzeczypospolitej stało na jakimś dobrotliwym paternalizmie. Możemy radować się, że w zaraniu dziejów lud wielbił piękną, mądrą i dzielną Wandę, co nie chciała Niemca, możemy sentymentem darzyć Jadwigę, która z kolei chciała Niemca, lecz kierując się racją stanu wybrała tron polski i Jagiełłę — ale oddając się takim miłym wspomnieniom nie traćmy przecież z pola widzenia realnej sytuacji ogółu kobiet polskich, jeszcze kilkadziesiąt lat temu realizujących się głównie w roli żony, matki i kucharki.

Spoleczno-zawodowa emancypacja kobiet w Polsce Ludowej była następstwem zmian ustrojowych w kraju, odpowiadając jednocześnie ogólniejszym tendencjom w całym cywilizowanym świecie. Stymulowały ją decyzje polityczne i gospodarze oraz akty legislacyjne, które wcale nie miały na celu podważenia rodziny jako podstawowej komórki życia społecznego. Otwierając przed kobietą szerokie, nigdy dotąd nie znane możliwości kształcenia się, pracy zawodo-

wej i działalności publicznej, chcieli ją wyposażyć w takie sprawności, przymioty i wartości, które sytuowałyby kobietę w roli partnera męża, w roli jednego z podmiotów rodziny. Owszem, w początkach lat pięćdziesiątych mocno przesadzono w tym dążeniu ku równości damsko-męskiej, zachęcając pleć faktycznie słabszą do siodłania rumaków stalowych i innych podobnych urządzeń. Ale taka to już jest natura każdej rewolucji, że w wieku szczenięcym rzuca się z motyką na słońce.

Pomówmy o konkretnych efektach tego historycznego programu. Jak podaje cytowany już badacz, w latach 1958 — 1982 liczba zatrudnionych kobiet z wyższym wykształceniem zwiększyła się prawie sześć razy, z

wykształceniem średnim zawodowym i pomaturalnym — ponad pięć razy, ze średnim ogólnokształcącym — niemal trzykrotnie, a ze średnim zawodowym — ponad siedmiokrotnie. Kobieta pracująca jest dziś współwycielem rodziny, a zatem decyduje — na zasadzie pełnego partnerstwa — o wszystkich ważnych sprawach tej wspólnoty i powołunku, lecz konsekwentnie, przekazuje mężowi niektóre „typowo damskie” roboty domowe.

Ten obrazek można by jeszcze uzupełnić o pozycję kobiet w nauce, ilustrując sytuację choćby liczbą ponad tysiąca profesorów i docentów w spółnicach, zatrudnionych w szkołach wyższych (poza artystycznymi i sportowymi). Można by jeszcze dać PT Czytelnikom inne dowody do wzruszeń, przypominając, że kobiety są np. na czele gmin i miast, dzielają się społecznie, wspinają na szczyty Himalajów, reprezentowane bywają w kierownictwie partii politycznych i w ogóle mają dobre samopoczucie, bo na straży ich interesantów stoi „Kodeks rodzinny i opiekuńczy”, przyjęty w 1964 roku, a w znacznym stopniu i „Kodeks pracy”.

Obawiam się jednak, że taka wylicznanka zirytowalaby każdą przeciętną Polkę, zdyszana w gonitwie między domem a zakładem pracy, zmęczona sterczeniem w kolejkach po mięso,

wynagradzana nierzadko gorzej niż mężczyźni na identycznych stanowiskach i rządziej od nich awansowana. „Wydaje się niekiedy — wskazuje M. Kozakiewicz — że im więcej przywilejów zdobywają kobiety (...), tym częściej konkretni dyrektorzy i kierownicy zakładów pracy wolą zatrudniać mężczyzn niż kobiety. Inaczej mówiąc, w paradoksalny sposób wzrost społecznych zdobyczy kobiet obraca się przeciwko nim i uruchamia nowe, ale już ukryte i utajone mechanizmy dyskryminacyjne. Kobieta staje się, dzięki licznym przywilejom i zarządzeniom ochronnym, pracownikiem kłopotliwym dla dyrektora zakładu pracy, który — jak wszyscy dyrektorzy — woli sobie życie upraszczać, a nie komplikować”.

Diagnozę tę sformułowało kilka lat temu, ale i dziś nie traci ona aktualności, choć wiele przedsiębiorstw podobno wręcz żębrze o pracownikach.

Sytuację kobiety współczesnej komplikuje jeszcze trudna sytuacja gospodarcza kraju, zatem klepskie zaopatrzenie sklepów, niedostatek miejsc w żłobkach i przedszkolach (ponad 900 tys.). Nadal też funkcjonują dawne stereotypy kulturowe i społeczne, przypisujące kobiety do wykonywania większości prac domowych, którymi z powodzeniem mogłoby zająć się mężczyźni.

Być kobietą w kraju mizerii gospodarczej to znaczy być człowiekiem ciężkiej pracy. Panowie, nie próbujcie jednak proponować żonom, matkom czy córkom, by zrezygnowały z pracy zawodowej. Wyśmiejcie was, może i cięższym słowem obrzucą, albowiem one po prostu cenią sobie pracę — nie tylko ze względów ekonomicznych, ale również jako podstawową gwarancję ich osobistej niezależności i głównej formy człowieczej autokracji. I to właśnie określa sens najgłębszy tej naszej polskiej emancypacji.

Zestarał się aforyzm Artura Sandaiera, który oznajmił kiedyś: „Samopoczucie kobiety jest funkcją tego, czy się podoba”. Zaproponujmy więc inną jego wersję, zgodną z duchem czasu: „Samopoczucie kobiety jest funkcją tego, czy się podoba w pracy i jak się jej praca podoba”.

K.

W tekście wykorzystano m. in. informacje z pracy zbiorowej „Kobiety polskie” (Warszawa 1986), której lekturę polecamy mężczyznom uważającym się za „głową rodziny”.

Lubelskie hafciarki

NAJRUCHLIWSZY tu i najciaśniejszy odcinek ulicy Królewskiej w Lublinie, w dodatku wąski chodnik niemalże sprasowuje podążającą tędy fałę przechodniów. Nie ma więc mowy, by w tym miejscu wystawić od frontu okazałą witrynę.

W oknie parteru mieszczą się jedynie dwie-trzy sztuki wyrobów reklamujących niektóre tylko możliwości usługowe zakładu Skromna tabliczka z jego nazwą może najmniej znaną mieszkańcom Lublina, za to mającą dobrą renomę nawet w najdalszych zakątkach kraju.

Hafciarski Zakład Usługowy numer 5 przy ulicy Królewskiej (stanowiący filię Odzieżowej Spółdzielni Pracy „Viola”) jest właśnie tym jednym z nielicznych (poza Warszawą, Poznaniem i Krakowem), który od przeszło dwudziestu lat świadczy usługi hafciarskie, słynne przed wiekami, jako sztuka najwyższej próby.

Szkoda, że nie ma takiej możliwości, by wyeksponować przynajmniej raz z okazji jubileuszu te wspaniałe prace, które tu się wykonują; jakże i gdzie rozwijać te setki wyhaftowanych przez pracownice tego zakładu sztandarów, proporców, chorągwi, nie mówiąc już o hafcie ozdobnym na konfekcji, pościeli, serwetkach?

Dokumentuje je w minimalnym zakresie Spółdzielnia Fotograficzna „Zorza”, ale i to za mało, by skleić odpowiedni albumik.

Przejdźmy jednak do konkretów. Dobrą chwilę siedzę w dość obszernej i schludnej biurze zakładu. Nie ma tu w biurze panien haftujących, nie ma romantycznego tła, jest natomiast podręczny katalog, skąd można wybrać dowolny motyw na bluzeczkę, pościel czy serwetkę lub obrusik. Najmniejszy hafcik: 80—110 złotych.

Oto klientka z Lubartowa rozkłada na biurku przed kierowniczką zakładu, Krasią Wolińską, bawełniane podkoszulki: biała i różowa.

— O, tutaj, proszę o wyhaftowanie różowego napisu: „First Lady”.

— A na białej? — pyta kierowniczka.

— Może czarną nitką to samo, oczywiście, i trochę srebra.

— Nie polecałabym tego koloru — doradza pani Kazimiera. — Pani wie, barwniki naszych nici są fatalne. Po pierwszym praniu mogą „puścić” kolory i cała „First Lady” na nic.

— A może ten, niebieski?

— Zgoda.

Przystojny wąsacz przymierza do mankietów płaszcz wyhaftowane już lotnicze dystynkcje i naszywki.

Nawleczenie mi sto igieł!

— Czy aby dobrze leżą?

— Ależ, znakomicie — uspokaja pani Kazimiera. — Są elastyczne, przylegają do materiału, nie ma obawy, aby się odkształciły i zaczęły o cokolwiek.

Ruch w zakładzie duży. Urwanie głowy zaczyna się na wiosnę i jesienią, w różne rocznicowe pory. Zakłady pracy i organizacje na gwałt wtedy szyją i haftują sztandary i proporce.

— Pan! zobaczy — kierowniczką rozwija przede mną jedną stronę okazałego sztandaru. Na białym rypsie czerni, złoto, srebro, czerwien, zieleń, górnicze młotki, wąż Eskulapa i na niebiesko wyhaftowana starożytna sentencja: „Salus aegroti suprema lex”.

No, pomyślałam sobie, łacina znów w łaskach! Sztandar zamówił Górniczy Zespół Opieki Zdrowotnej w Łęcznej.

— Niedawno — dodaje pani Wolińska — haftowaliśmy wizerunek Staszica dla Gminnej Spółdzielni w Hrubieszowie. Pięknie wycieniwała tę postać pani Wanda Musikowa, jedna z naszych hafciarek, specjalizująca się i w sztandarach i haftowaniu postaci, co jest najtrudniejszą i najbardziej mozolną sztuką. Na warsztacie, a właściwie na hafciarskich krosnach, jest teraz św. Mikołaj — patron również i pszczelarzy. To Gminne Koło Pszczelarzy w Zambrowie zamówiło sobie taki motyw dla swojego wyjściowego sztandaru. W ciągu roku przyjmujemy około stu zamówień na sztandary. I tyle tylko, niestety, możemy wykonać ręcznie 13 biegłych w tej sztuce hafciarek.

Haftowanie sztandarów to trudna sztuka, wymagająca zresztą sporo miejsca, bowiem trzeba rozłożyć hafciarskie krosna, które w metrażu naszych mieszkań „zagracają” dobre pół pokoju.

Hafciarki pracują systemem chałupniczym. Na wykonanie sztandaru, jednej tylko jego strony, potrzeba bi-

nie orla w rozmiarze 67 cm wysokości na podkładzie wymaga 170 godzin pracy, cena 54 050 złotych. Emblemat ZBoWiD-u — 250 godzin haftowania za 28 750 złotych, emblemat „kłosa” 40 x 8 cm wyszywa się w 40 godzinach, cena usługi 4 600 złotych. A litery? Od 2—30 cm wysokości w ciągu 35 minut do 30 godzin, cena, w

tych czterech tygodni. Ile to jest godzin śmigania nieprzerwanie igłą?

Wypisuję z cennika: oto na wyszycie emblematu Ochotniczej Straży Pożarnej z orłem potrzeba — według specyfikacji — 270 godzin. Cena za tę usługę 31 050 złotych. Wyhaftowa-

zależności od rozmiaru: 67—3 450 złotych.

Godzinę pracy hafciarki skalkulowano na 115 złotych.

A ile otrzymuje ona sama? Jeżeli wykonanie sztandaru kosztuje na przykład 120 tys. złotych, to wykonawczyni otrzyma około 23 tys. złotych. Zatem powinien to być interesujący kobiety zawód?

— Trafilo nam się — mówi pani Kazimiera — że pewnego razu Polonus z Francji zamówił u nas proporce dla „karawanierzy” Kolorowe, bo przeznaczone dla uczestników turystyki „przyczepowej” — caravanningu...

Ale, zgodziłyśmy się z panią Kazimierą, skoro brak jest materiałów, to niechby klient ów odwdziaczył się nie złotymi polskimi, a złotymi francuskimi... niemi! Księgowość ma na ten temat — rozwiała moje niedorzeczne myśli pani Wolińska — inne zdanie!

I znów wyszedł nam w całej okazałości dyżurny temat — brak odpowiednich rypsów, adamaszków, jedwabi, nici, szczególnie tzw. bajorkowych — złotych i srebrnych, sprowadzanych po wielkiej biedzie aż z Białej-Białej. Niestety, gatunek materiałów pozostawia wiele do życzenia. Płowięją. A przecież wyhaftowane sztandary powinny nas przeżyć, nie są to bowiem przedmioty „jednookolicznościowego” użytku.

Z hafciarkami współpracuje projektant-plastyk, trzeba bowiem jakoś „przykroić” życzenia i wyobraźnię klienta do stosowanych kanonów sztuki hafciarskiej, szczególnie sztandarów i chorągwi. Czasem klient przy-



Aleksandra Iwanowicz.
Fot. Robert Lipski

Gdy krawiec sknocil palto...

Sąd cechowy

Gabriela Żak

OTO klientka nabyła ładny materiał na palto i postanowiła uszyć je według modnego kroju u znanego w mieście mistrza igły. Mistrz ustalił model, wziął miarę, ale palto sknocil, a cenę zawyżył. Klientka na próżno usiłowała mistrzowi dowiedzieć, że kołnierz leży na sztyl jak, nie przymierzając, chomąto. Krewki mistrz mówił swoje, klientka swoje, żadnego więc kompromisu nie osiągnięto. Do zawyżonej za sknoczone palto ceny klientka zdecydowała się dodać koszty postępowania sądowego, wnosząc na nierzetelnego rzemieślnika skargę do sądu.

Inny przykład. Nagrobek zamówiony u kamieniarza X nie został wykonany w określonym terminie, ani w trzech następnych. Klient, straciwszy cierpliwość, zagroził kamieniarzowi sądem, zwłaszcza że uprzednio uścielił sporą zaliczkę.

W podobnych przypadkach, a można dopisać ich wiele, powtarzają się te same naruszenia rzemieślniczej uczciwości i rzetelności. Powtarza się też sposób na dochodzenie klienta swoich racji: poprzez sąd, co czyni tę reklamację droższą, a przede wszystkim

sprawa ciągnie się zwykle bardzo długo.

Ciśnięcie pytanie, czy koniecznym problemem sknoczonego palta, niedotrzymanego terminu wystawienia płyty grobowej, musi zajmować się sąd? Oczywiście, że nie! Przy każdym rzemieślniczym cechu działają przeciw komisje skarg i reklamacji, przy każdym też funkcjonuje sąd cechowy, właściwy każdemu rzemiosłu. Orzeka on — zgodnie z brzmieniem najnowszej ustawy z 1972 roku o wykonywaniu i organizacji rzemiosła — jako pierwsza instancja w sprawach odpowiedzialności zawodowej członków cechu za naruszenie zarówno statutowych (a jest ich dość sporo) obowiązków członków cechu, jak i zasad etyki zawodowej lub rzetelnego wykonywania zawodu. I tu znakomicie mieszczą się sprawy, o których mowa.

Sądy cechowe są, wbrew obiegowym i niesłusznym opiniom, bezstronne i konsekwentne. Aczkolwiek wyposażone we władzę sądowniczą pro foro interno — a więc tylko nad członkami cechu — mogą winnemu owych wspomnianych naruszeń i szkód rzemieślnikowi „dolożyć” upomnienie, naganę, albo i pozbawić prawa do korzystania z określonych świadczeń cechu przewidzianych w statucie.

W przypadku zaś rażącego — cytując za regulaminem sądu cechowego — na-

ruszenia zasad rzetelnego prowadzenia zakładu rzemieślniczego, sąd cechowy oprócz wyżej wymienionych kar może wystąpić do Zarządu Cechu z wnioskiem o cofnięcie uprawnień do wykonywania rzemiosła albo i pozbawienia prawa szkolenia uczniów.

W skład owych sądów cechowych wchodzi mistrzowie najdoświadczeni, godni zaufania, wybrani spośród całej rzemieślniczej korporacji na czas trwania kadencji zarządu. Z pomocą w każdej chwili służy im Zespół Rzecznawców — biegłych w każdym, zrzeszonym w izbie, rzemiosle.

Jak ta działalność wygląda na co dzień? Przewodnikiem w tych prawnych i rzemieślniczych zawilościach jest dla mnie mgr Jerzy Miszczak, radca prawny przy Izbie Rzemieślniczej w Lublinie.

Wstępujemy do Cechu Krawców i Rzemiosł Włókienniczych. Lubelski cech krawców istnieje w naszym grodzie od 450 lat! Sama korporacja lubelskich krawców powstała w 1535 roku, ale projekt przywileju (przez krawców zresztą ułożony) przeleżał w radzie miejskiej do 1583 roku, aż go król Batory odkurzył i zatwierdził. Dwa razy cech lubelskich krawców, w ramach obowiązków wobec miasta, wital w 1787 roku króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Współczesny cech krawców liczy 530

członków, 72 uczniów (niestety, liczba ta zmniejsza się stale z uwagi na konkurencyjność innych zawodów, trudności z uzyskaniem lokalu na zakład), 250 pracowników najemnych i cztery sekcje zawodowe — krawiectwa ciężkiego, miarowego, lekkiego i bielizniarstwa, czapnicstwa, modniarstwa, dziewiarstwa i innych. Od trzech lat czyni się starania o wybudowanie na tzw. klinie (ul. Armii Czerwonej 1 i Maja) kompleksu 70 pawilonów rzemieślniczych, w których znalazłoby swoje miejsce 18 zakładów krawieckich.

W ubiegłym roku komisja skarg tego cechu skierowała tylko 12 spraw, z czego cztery skierowano do kompetencji sądu cechowego. Pierwszą sprawę załatwiono polubownie, drugą — na interwencję Urzędu Miasta, a dotyczącą nadużywania przez mistrza krawieckiego alkoholu, sąd „opatrzył” nagana i ostrzeżeniem. W trzeciej — wynikającej z niewłaściwego załatwienia klienta, nieterminowości wykonania zlecenia i nerwowości — nakazano wyrównanie strat, przeproszenie klienta i wpłacenie pewnej sumy na fundusz społeczny. W czwartej (na wniosek zarządu) — niewywiązującemu się ze statutowych obowiązków rzemieślnikowi zagrożono nagana, a w przypadku niewykonania — cofnięciem uprawnień.

— Kto z sądem cechowym zazwyczaj wygrywa? — pytam moich rozmówców: Zbigniewa Lewandowskiego, podstarzę cechu, wiceprzewodniczącego MK SD, członka komisji egzaminacyjnej i Teofila Urbańskiego, kierownika biura.

— Kto? Jeśli rację ma klient, sąd jest wobec rzemieślnika ostry, jeśli rzemieślnik — sąd cechowy broni go przed niesłusznymi zarzutami.

I słusznie, po to przecież jest.

A jak jest w branży kamieniarzkiej? Halina Delektka z Cechu Rzemiosł Budowlanych informuje krótko:

— W Lublinie mamy 14 kamieniarzy, na 91 członków cechu. Do komisji wpłynęły w ubiegłym roku 33 sprawy

nosi fachowo i pięknie rozrysowany projekt, a czasem tylko wycinek z prasy i podobiznę — ledwo co widoczną — emblematu swojej firmy. Henryka Siołny — plastyczka-projektant cierpliwie tłumaczy, co i jak by należało na sztandarze umieścić.

Do grona najdłużej pracujących należy Maria Sychman, która haftuje od 17 lat. Nauczyła ją tego sąsiadka.

— Nie zamieniałabym tej pracy na żadną inną — mówi. — Lubię dom, haftowanie, choć wymaga to cierpliwości i dobrego oczu, a także skupienia.

— Moje haftowanie zaczęło się przed 44 laty — wspomina Aleksandra Iwanowicz — od wykonania dziurki. A potem przyszły kolejne „tajemniczenia” hafciarskiej sztuki — haft francuski, angielski, bajorkowy, malarski... Nauczyły mnie tego siostry szarytki w zakładzie przy ulicy Sieroczej 11. Rodzice opłacali moją naukę i stancję, 30 złotych za miesiąc. Później haftowałam w Warszawie i znów w Lublinie. A w 1967 roku trafiłam do Hafciarskiego Zakładu Usługowego. Pomaga mi cała rodzina, łącznie z wnuczką Magdusią. Wszyscy nawlekają mi igły, 100 igieł muszę mieć pod ręką, żeby robota szła nieprzerwanie. Wiedzą już, jakich mi potrzeba kolorów, odcieni. Co mnie martwi? Brak poszanowania czasem i dla sztandaru i dla naszej mozolnej przy nich pracy. Ot, przyjdzie klient, zapłaci, ani nie obejrzy, zwinie, stłamsi sztandar pod pachą i pójdzie. Martwi mnie też brak dobrych nici. Jak tu cieniować, kiedy taka ubożyzna wyboru? Jak dobrać kolory?

Twórczynią najbardziej ozdobnego haftu, bajorkowego, jest Maria Złotkiewicz. Ona też nauczyła tego inne hafciarki. Wówczas można było zgłosić ofertę haftowania sztandarów, bo bez bajorka jest to niemożliwe.

Pani Maria ma dzisiaj 76 lat i jeszcze haftuje. Zimno jej w domku przy ulicy Dzierżawnej, sama nosi węgiel, rąbie drewno i zgrabiałymi palcami wyczarowuje jeszcze takie cuda!

W XVII wieku, najlepszym dla polskiego hafciarstwa, w Lublinie istniał cech haftarzy. Wtedy prym w tym fachu wiedli... mężczyźni!

Oczywiście, można dziś haftować i przy pomocy maszyn, nawet skomputeryzowanych. Jeśli zaś ręcznie, to na zawsze pozostanie aktualne przysłowie: „panna zanim ptaszka wyhaftuje — wółu zje”. I niech to będzie pochwała dla lubelskich hafciarek i ich cierpliwiej sztuki!

o nieterminowość, co nie zawsze bywa winą rzemieślnika (brak chociażby materiałów). Załatwiono 32 sprawy polubownie, jedna (za usługi wnętrza) skierowana do sądu cechowego spowodowała cofnięcie uprawnień.

W Cechu Rzemiosł Różnych Elżbieta Grad zacytowała mi „cedro” swojej komisji skarg.

— Interes obywatela brany jest pod uwagę w każdym przypadku, nawet w sytuacji, gdy komisja przy pomocy rzeczoznawców nie jest w stanie stwierdzić winy rzemieślnika. Wówczas, w imię życzliwości i dobrego imienia rzemieślnika, komisja staje na stanowisku, że szkód powinien pokryć rzemieślnik.

Dzięki działającej w tym cechu komisji skarg pod przewodnictwem Wiesława Witkowskiego — kaletnika, sąd cechowy ma tu naprawdę niewiele do roboty. Na 33 skargi — 22 załatwiono polubownie. Najwięcej „naskarżono” na kuśnierzy (sześć reklamacji) z uwagi na jakość usług (trzy okazały się zasadne, trzy oddalone). Na szewców wpłynęły trzy skargi za jakość, termin i ceny. Sprawy rozpatrzono w ramach kompetencji komisji.

Niedawno na pewnym (ważnym!) zebraniu wołano, iż sądy cechowe za mało egzekwują swoje prawa, m. in. w zakresie pozbawiania uprawnień nieuczciwych rzemieślników. Przekonałam się, że w lubelskim rzemiośle sądy te i komisje działają zgodnie z literą prawa, jak i niepisanyymi normami postępowania dyktowanymi przez samo środowisko rzemieślnicze. „Iskrzenie” na styku rzemieślnik — klient rozładowują z właściwym i obopólnym sprawiedliwym skutkiem, chociaż, być może, zdarzają się jeszcze pewne nieporozumienia. Rzecz jednak w tym, aby klient po prostu wiedział, że sąd jest już tą ostatnią instancją, w której może szukać sprawiedliwości. Najpierw warto spróbować dochodzić swoich racji w sądzie cechowym.

TAJEMNICA tych znalezionych na śmietniku filmów pozostałaby może na zawsze nie tknięta, a przede wszystkim one same nie ujrzałyby światła dziennego, gdyby dwunastoletni Szymon Bilski z podsandomierskiej wsi Czermin nie postanowił pewnego dnia poszperać na strychu rodzinnego domu: a nuż znajdzie tam coś interesującego?

Buszując w półmroku, wśród pokrytych kurzem, dawno nie używanych mebli, między skrzynkami, pękatymi workami, częściami sprzętu gospodarskiego, chłopiec natrafił na stary, zniszczony skórzany nesesor.

Musiał to być niegdyś bardzo elegancki i drogi przedmiot: walizeczka-torba, w rodzaju tych, jakich przed laty chętnie używali lekarze udający się z wizytą do chorych. Ten nesesor miał w rodzinie Bilskich swoją długą historię: wkrótce po wojnie dziadek Szymona, który zajmował się wówczas wywozem śmieci w Sandomierzu, znalazł walizeczkę na miejskim śmietniku, a że była jeszcze w dobrym stanie, zabrał ją do domu. Nesesor bardzo się podobał jego kilkunastoletniemu synowi — późniejszemu ojcu Szymona; przez kilkadziesiąt następnych lat Henryk Bilski, zostawszy murażem, nosił w nim swoje narzędzia pracy. Gdy wreszcie walizeczka zaczęła się ostatecznie rozpaść ze starości, Henryk Bilski wyniósł ją na strych domu w Czerminie, w myśl starej zasady: „niech stoł, szkoda wyrzucać, a nuż się na coś przyda”.

Gdy teraz Szymon zaczął oglądać na wszystkie strony znalezione przedmioty, potrzaskał nim, próbował zamakać i uchwytać, nesesor... nagle rozleciał mu się w rękach. I wówczas okazało się, że zawiera on w sobie tajemniczą skrytkę, której istnienia ani dziadek ani ojciec Szymona nigdy się nawet nie domyślali.

W skrytce znajdowały się: metalowa owalna pieczęć do laku z wygrawerowanym na awersie monogramem — „M. D.”, pięć sznurów korali z mosiężnym filigranem, jeden sznur sztucznych pereł oraz prostokątna metalowa kaseta. Wewnątrz kasety, w specjalnych, wyłożonych miękkim pluszem zagłębieniach, leżało trzynaście niewielkich rolek z wywołaną, wąziutką taśmą filmową. Taśma miała szerokość 8 milimetrów, po jednej stronie była perforowana. Na maleńkich kłatkach filmowych z trudem można było rozpoznać jakieś mikroskopijne ludzkie postaci; niektóre z nich — w wojskowych mundurach. Jedenaście filmów było czarno-białych, dwa filmy — kolorowe. Bilscy zaczęli się zastanawiać, czy te tak przemysłnie ukryte filmy to aby nie przypadkiem jakieś wojenne, lub — przedwojenne jeszcze — materiały szpiegowskie?

Przez długi czas debatowano w domu w Czerminie, co począć z filmami. I czy jest to „niebezpieczne”, czy może — niezwykle wartościowe (także: w sensie finansowym) znalezisko. Ojciec Szymona radził się wielu osób, co ma począć, do kogo się zwrócić w celu wyjaśnienia tajemnicy filmowych taśm. Zanim dotarł do młodej nauczycielki, której uczniem jest Szymon, minęły prawie trzy lata...

Jolanta Ponikowska po skończeniu studiów bibliotekarskich na UMCS osiadła wraz z poznanym w Lublinie mężem, Donaldem, w rodzinnym Czerminie. Donald wziął się za ogrodnictwo, ona zaczęła uczyć historii w szkole podstawowej w niedalekiej wsi Garbów. Kiedy w listopadzie 1986 r. przyszedł do niej Henryk Bilski i pokazał kasetę wypełnioną rolkami filmów (każda rolka opatrzona była na brzegu szpulki napisem: „Kodak — Warszawa”) pomyślała, że trzeba będzie przy najbliższej okazji zawieźć filmy do teściów, mieszkających w Lublinie, ażeby wspólnie naradzić się, co dalej z nimi począć...

To właśnie teściowa, Lidia Conikowska wpadła na pomysł, aby zwrócić się z całą sprawą do Telewizyjnej Panoramy Lubelskiej...

I oto w jednym ze styczniowych wydań tegorocznej „Panoramy” telewizyjnej lubelskiej zobaczyli kilka krótkich fragmentów „filmów znalezionych na śmietniku”; nieco później te same fragmenty zaprezentował warszawski „Teleexpress” wraz z apelem o zgłaszanie się do telewizji, jeśli ktokolwiek pozna występujące na filmowych zdjęciach, osoby...

Jak dotąd, niestety, nie nadeszło jeszcze żadne konkretne zgłoszenie.

Dzięki uprzejmości kolegów Adama Sikorskiego i Jeremiego Karwowskiego z Panoramy Lubelskiej mogłem obejrzeć prawie cały materiał filmowy ukryty w znalezionym niegdyś na sandomierskim śmietniku nesesorze. Prawie cały, bo Jolanta i Donald Ponikowscy, z trzynastu znalezionych w nesesorze rolek, przywieźli do Lublina — dzie sięć. Trzy pozostałe roleki (w tym — jedna z filmem kolorowym) zostały przez Bilskich powierzone komuś innemu; komuś, kto rozlać przed nimi miraż niezwykłych dochodów z udostępnienia tych archiwalnych taśm kinom w całej Polsce. Ale to osobna historia.

Tak więc w sobotę, 7 lutego 1987 r., w lubelskim studiu telewizyjnym odbyła się pierwsza, po niespełna pięćdziesięciu latach, powojenna projekcja „filmów znalezionych na śmietniku”. Filmów, które ich twórcy

Filmy znalezione na śmietniku

Mirosław Derecki

i zarazem właściciele, oglądali zapewne po raz ostatni przed wybuchem II wojny światowej... Nasuwa się pytanie, kim byli ci ludzie, których twarze, postaci, fragmenty życia zostały utrwalone na filmowej taśmie?

Spróbujmy, choćby częściowo na to pytanie, odpowiedzieć...

Odkryte przez małego Szymona Bilskiego w skrytce starego nesesera filmy nie są żadnymi materiałami szpiegowskimi, nie są też ważnym materiałem dokumentacyjnym, choć, na swój sposób, obrazują pewien wycinek życia wyższych sfer przedwojennego polskiego społeczeństwa. Filmy z Czermina — to ponad czterdziestominutowy zestaw filmów amatorskich; swoista rodzinna „kronika” wakacyjna, kręcona na użytek własny, i z myślą o najbliższych znajomych; tuzin z okładem familijnych reportażyków z wyjazdów nad morze, w góry, do Krynicy i Krakowa, na wczasy i na zawody sportowe, gdzie spotyka się „starych znajomych”, ciotki, wujków oraz dorastających bratanków i siostrzenice. I z tego właśnie m. in. względu filmiki posiadają wartość szczególną: jest to chyba jeden z bardzo nielicznych, zachowanych w kraju, tak obszernych zestawów filmów amatorskich dotyczących jednej, „familijno-pamiątkowej” tematyki!



Jolanta Ponikowska, nauczycielka z Garbowa, która przywiozła do Lublina filmy znalezione na śmietniku.

Fot. Andrzej Polakowski

Warto w tym miejscu nadmienić, że przed wojną było w Polsce bardzo mało filmowców-amatorów. Nie istniały amatorskie kluby filmowe, bogate instytucje finansujące drogi sprzęt dla klubów, nie było dotacji państwowych. Kto chciał być filmowcem-amatorem, ten musiał pieniądze na kamerę i projektor wyłożyć z własnej kieszeni. Średniej klasy kamera (jak dobrze pamięta to dzisiaj lubelski plastyk Lucjan Wengorek) kosztowała 386 złotych! To znaczy o sto złotych więcej niż miesięczne pobory podporucznika WP, lub tyle, ile pensja dobrze upo-

żanego urzędnika państwowego. Na „zabawę w filmowca-amatora” mogli sobie pozwolić ludzie naprawdę majątni. Mieliśmy wtedy także sukcesy w dziedzinie filmu amatorskiego: amator-wąskotaśmowiec, inż. Tadeusz Jankowski, zdobył np. w roku 1938, za swoje dokumentalne, nakręcone w kolorze, „Wesele księżackie”, pierwszą nagrodę na VII Międzynarodowym Kongresie Filmu Amatorskiego w Wiedniu. Ale większość — niezbyt licznych w kraju — amatorów-filmowców kręciła filmy właśnie podobne do zestawu z Czermina...

Głównym bohaterem czerminskich filmów jest — najczęściej się w nich pojawiający — wysoki, przystojny mężczyzna po czterdziestce; nazwijmy go „panem X”. Doskonale ubrany, noszący eleganckie garnitury, pan X wygląda na dobrze prosperującego przemysłowca, finansistę lub członka eki-

py rządzącej. Być może, ma za sobą wojskową, legionową przeszłość, a teraz, w końcu lat trzydziestych, związany jest mocno z obozem sanacyjnym; jawi się bardzo często na zdjęciach w otoczeniu wyższych oficerów, a raz jeden — on sam występuje także w mundurze oficerskim. Ale najpierw, na pierwszej rolce filmowej, widzimy go w stroju narciarskim: w pumpach do kolan, białym skafandrze z numerem „54” na piersi, gdy rusza do slalomu rozgrywanego gdzieś na stokach Kasprowego Wierchu. W filmowych kadrach: góry, śnieg, i wspinające słońce; na stoku górskim dziesiątki eleganckich pań i panów z nartami i bez nart; w tle: wysoko w górze — obserwatorium meteorologiczne na Kasprowym.

Następna sekwencja w tej rolce — to sceny z przyjęcia w domu stojącym w spokojnej, eleganckiej willowej dzielnicy. Być może, jest to dom pana X oraz jego żony, występującej prawie zawsze u jego boku, nobliwie wyglądającej, świetnie ubranej blondynki, również około czterdziestki. Państwo X przyjmują gości w ogródku przed domem; służąca w białym fartusku roznosi kieliszki z winem. W kadrze pojawia się na chwilę niewysoki mężczyzna w generalskim mundurze; po chwili — oficer w stopniu kapitana. Ten ostatni, mężczyzna dość drobnej budowy, z czarnym wąsikiem na suchej, pociągłej twarzy — nazwijmy go majorem Z — będzie często kojarzył na dalszych filmach, państwu X. Czy jest to jakiś kuzyn pana lub pani domu? Obok niego często występuje młoda, szczupła blondynka w eleganckich szortach lub w zwiewnych letnich sukienkach, panią wyglądająca na 16-17-letnią pensjonarkę; wokół jej nóg płacze się biały, puszysty piesek, szpic. Może siostrzenicą państwa X? Goście piją wino, a potem beztrudnie tańczą w ogrodzie willi. Kamera panoramuje wzdłuż ogrodzenia, aż do tego miejsca, gdzie przed bramą wejściową stoi przy krawężniku elegancki, jasnopopielaty samochód.

Ta pierwsza rolka filmowa to ekspozycja całości filmowego zestawu. Trzy lub cztery postaci z przyjęcia w ogródku będą później wciąż przewijały się na wspólnych zdjęciach, w różnych miejscach w kraju i w różnych sytuacjach. Jeszcze później dołączy do nich starszka w czerni, z białym, kolorowym żabocikiem oraz szczupły, ciemny młodzieniec lat siedemnastu-osiemnastu, z sypanym się pod nosem delikatnym wąsem. Na jednym z filmów widzimy go na grani Kasprowego Wierchu pod ręką z panią X; może to jej syn? Odnosi się wrażenie, jakby to on najczęściej filmował sceny z życia rodzinnego oraz towarzyskiego państwa X.

Dokończenie na str. 11

SIEDZIALEM zatopiony w fotelu, ze sto-
pami opartymi o taboret obejmując dłoń-
mi szklankę z dymnego szkła, na której
nie pieniała się brązowa coca-cola. Choć
wydawało się to nieprawdopodobne, babelki, któ-
re wystrzeliły w powietrze jak nadektryzowa-
ne, szczyptały mnie w oczy. Zabrzczał dzwonek.
Wreszcie się doczekałem.

Aneta. Stała w drzwiach jak przed laty, gdy za-
prosiłem ją do siebie po raz pierwszy. To praw-
da, że nie była wtedy tak przesiaknięta perfu-
mami, nie otwierała na przywitanie jasnych, dziś
już profesjonalnie wyrachowanych oczu, a co naj-
istotniejsze, nie chwylała mnie za mych sześć wło-
sów, zuchwale sterczących nad czołem, tak agre-
sywnie jak teraz, choć z udawaną nieśmiałością.
Zazwyczaj udawało mi się umknąć przed tym
wystudiowanym gestem. Aneta traktowała to jed-
nak niemal jak osobista obrazę.

— Zawsze robisz tyle szumu wokół tych paru
kudelków — powiedziała lakonicznie i rozbawiona
weszła. — Daj mi chociaż buzi. — Pomogłem jej
zdejść płaszcz i postawiłem torbę na szafę. Nie wi-
działem jej tydzień, jeździła gdzieś po Europie
jako modelka, a moja początkowa radość, że ja
widzę, stopniowo ustępowała miejsca obawom i
niepokojom, czy będzie do mnie wracała tak chę-
tnie, jak kiedyś. Brakowało mi jej. Nasze trzy-
tygodniowe mieszkanie było bez niej puste, lecz kie-
dy wchodziła i mówiła: „Jak się czują twoje ku-
delki” lub „Pokaż mi to swoje lustro, niech je
pocałuję” miałem uczucie, że przedpokój, kuch-
nia i pokoje są nią przepełnione i nie można się
w nich ruszyć.

— Już się nie mogłem doczekać — powiedzia-
łem i dotknąłem jej rudawych włosów. Czulem,
jak przesypują mi się między palcami. Usiadła w
drugim fotelu, zapaliła papierosa i puściła magne-
tofon. Ale sugestywny Jimi Hendrix nawet jej nie
ruszył.

— No i jak było, opowiadaj — zachęciłem ją
i nie mogąc się doczekać nastawilem wodę na
kawę. W duchu już słyszałem krzykliwe głosy u-
licznych przekupniów, skrzydlawy oddech trans-
atlantyków i lodowate milczenie samobójców, w
heroinowym upojeniu rzucających się do Sekwa-
ny.

— Przywiozłam ci perukę — machnęła ręką w
kierunku torby z reklama maszynek do golenia
marki Remington. — Jak będziesz to rozpakowy-
wał, będzie gdzieś na dole. Żebyś nie musiał cho-
dzić z gołą głową — dodała dwuznacznie.

— Jak?

— No bez włosów!
Palce mimo woli powędrowały mi do łysiny.
Zmieszany pokręciłem głową. — Ja to przecież
traktuję jako fakt, rozumiesz, w sumie chciałem
tego dla ciebie, skoro ci na tym tak zależy.

— Zależy, oczywiście — powiedziała i odłożyła
papierosa na popielniczkę. Znowu wiechała mi
we włosy tym śliskim, gadzim ruchem. Nie lubi-
łem takiego głaskania. Czulem się, jakby mnie ja-
kiś zboczeniec klepał po tyłku, moje pośladki i gło-
wa są bowiem w pewnych szczeniach do siebie
podobne. Ale czy mógłbym mówić o tym Anecie,
która miała niezliczone nawet rzeszy?

KIEDY POZNALIŚMY się na jakiejś studenc-
kiej prywatce, na głowie miałem bujna grzywe
kasztanowych włosów, zawiadkiwo opadających na
czoło. Kilka tygodni później rozstałem się w łó-
zku w tym najmniej odpowiednim momencie.

— Co wyprawiasz? — jakby mi uszła z ciała
wszystka krew. Nawet łóżko przestało oddychać.
— Nie gniewaj się — pogladziła mi zmarszczki
na czole — i zamknij oczy. Wyobraziłam sobie
ciebie bez włosów.

— Dlaczego mam je zamknąć — zdziwiłem się
i chwyciłem ją za rękę.

— Żebyś mnie sobie też przypadkiem tak nie
wyobraził.

Próbowałem, lecz była ciągle tak samo brzo-
wa, tak samo pachniała powietrzem, tak samo
nieosiągalna.

Uplývające lata odbijały się nam nie tylko na
stawach, zgarbionych plecach i zmarszczkach wo-
kół ust, wkradają się też do włosów. Za namową
Anety odwiedziłem lekarza. Obrzucił moją głowę
fachowym spojrzeniem, ze znawstwem zmiał w
palcach kilka moich kłaków, zgniół w dłoni jak
liście tytoniu i powiedział:

— A jak pana ojciec, brakuje mu czegoś?

— Nic mi nie mówił. Ale o czym pan myśli? —
przestraszyłem się.

— Czy ma łysinę? Tak? Mogłem się tego spodzie-
wać. Powiem panu bez owijania w bawełnę. To
kwestia genetyki. Niech pan spojrzy na moją gło-
wę wystarczy to panu? — Potem zordynował mi
nisept i dwa razy tygodniowo panthenol do-
mieśniowo.

Aneta nie poddawała się jednak, mimo że prze-
pisane leki nie skutkowały. Nie wystarczyło jej
przerzucanie wszystkich dostępnych czasopism, za-
częła pisywać do przeróżnych laboratoriów kos-
metycznych i przywozić z zagranicy cudowne pre-
paraty. Kiedyś, gdy już myślałem, że jej przeszło,
oświadczyła:

— Czytałem w prasie o żółtku lastrzebiego faj-
ka — i wyluskała z chusteczki nakrapiany owal.
— Po umyciu głowy to żółtko nanieśiesz na wło-
sy i zostawisz chwilę, żeby zadziałało.

Cała ta procedura wypróbowałam wspólnie. U-
siadła na mnie i masowała mi skórę na głowie
trzesąc się jak kwoka. Żółtko ściekało mi na po-
leczki i w ciągu kilku minut zastęły mi nie tyl-
ko rysy twarzy, ale i powieki tak, że nie mogłem
nimi w ogóle ruszyć. Na dodatek Anecie zostały
w palcach klebki pozostawionych włosów w wy-
ważnych mi nieostrożnymi ruchami. Na moje żaloz-
ne i rozgoryczone spojrzenie odpowiedziała:

— To nie, odrosną.

Ale nie odrosły. Używałem arovitu, salupinu,
różnych kremów i mazideł, próbowałem nawet
jogi i po niedługim czasie opanowałem stójkę zwa-
na sirsasana, ów najsukuteczniejszy lek na wszyst-
kie bóleczki ludzkiego ciała. Na ostatek rytualne-
go tańca egzotycznych plemion kazałem się bi-
czować po głowie miotłą z pokrzyw. Żeby popra-
wić ukrwienie naskórka. Wreszcie moja droga żo-
na nie wytrzymała i nad moim żaloznym stanem
załamała rece.

— Masz to, czegoś chciała — skonstatowałem
zgrzyliwie.

— Kochanie, ale ty byłbyś takim wspaniałym
modelem — powiedziała, czule mnie całując. Mia-
łem wrażenie, że myśli o czymś innym, ale kon-
tynuowała: — Moglibyśmy być ciągle razem, ob-
jechać całą Europę, cały świat. I czego by nam
było więcej do szczęścia? Gdybyś tylko miał o te
sto włosów więcej.

— Anetko, musisz mnie kochać takiego, jaki
jestem — poważnie zakomunikowałem, położyłem
sobie na głowę kompres z lodu i poszedłem zro-
bić koktajl truskawkowy, który bardzo lubiła.
Przez cały czas, kiedy wyjmowałem z lodówki
mleko i twaróg, ze spiżarni dżem i truskawki, z
kredensu sok, siedziała zamknięta w sobie i me-
dytowała. Anetka była dziwnym stworzeniem,
bardzo dobra dziewczyna, właściwie była dziew-
czyna. Moja żona w krótkim czasie wyrosła na

dame, a ja byłem z niej dumny. Cieszyło mnie,
gdy mogłem dla niej coś zrobić, choćby koktajl
truskawkowy...

— Ale nie żadał ode mnie, żebym nosił perukę,
od tego kreć mi się w głowie i mózg mi mięknie!
— Naprawdę? — zdziwiła się i spojrzała na mnie
jak na indywiduum z IQ minus 35. Na dodatek u-
śmiechnąłem się głupkowato i w jej oczach bly-
snęła niepewność, czy aby dobrze wybrała part-
nera na swa życiową drogę.

— Jeden dodać jeden równa się trzy — do-
rzuciłem, żeby ugruntować jej podejrzenia co do
mego intelektu i postawiłem przed nią szlachet-
ny koktajl.

— Ja sobie chyba doleję dżinu — podskoczyła
w stronę naszego barku, gdzie każdy mógł znaleźć
coś dla siebie, albowiem alkohol pijali u nas prze-
de wszystkim goście. Też sobie chlappałem, ale
brak treningu szybko dał znać o sobie. Aneta
miała zarumienione policzki i zaróżowione kolana.
Podejgnęła je pod brodę i zaczęła mnie „swoimi
sowimi oczyma obserwować. Wiedziałem, co się
święci, ale tym razem wszystko potoczyło się ina-
czej.

— Ty chyba chcesz mi coś powiedzieć — za-
cząłem pokornie i już widziałem, jak mnie ciągnie
na implantację włosów z jakiegoś nieboszczyka. Ale
ona miała w zapasie lepszy numer. Powoli zsu-
nęła z palca obrączkę i okreciła ją w słońcu. Kil-
ka odbitych promieni zafalowało w jej oczach.
Wreszcie na mnie spojrzęła.

— Znasz Lakatoszowa?

— Znam ich dwadzieścia — odparłem ostro-
żnie, bo mój szósty zmysł zasygnalizował, że stała
się ofiara jakiegoś spisku.

— Pani Lakatoszowa zna się na chiromancji.

— Na chiro... co?

— Wróżenie z rak, rozumiesz. Umie czytać z
dłoni jak z gwiazd. Na pewno ci powie, co be-
dzie z twoimi włosami. Czy masz w ogóle szan-
sę zostać modelem. Żebyśmy mieli wspólne za-
interesowanie. I kiedy cię zapytam o Diora albo
Mary Quant żebyś mi nie odpowiedział, że to pro-
szek do pieczenia albo klej do opon.

Milczałem. Lzy ciekły mi nie z oczu, lecz gard-
łem. Prowokacyjnie bawiła się obrączką. Zaczę-
łem obgryzać paznokcie. Anka uśmiechnęła się
jowialnie i do dna wychyliła szklankę koktajlu
truskawkowego.

— Dobra, pójdę tam — powiedziałem z uczu-
ciem, że na szyi gwałtownie zaciska mi się petla.

— Na pewno coś ci doradzi — dodała impu-
sywnie i puściła Jimi Hendrixa.

USIADZ SOBIE, chłopcze, no, no — wydusiła
Lakatoszowa. Sama kwitła rozwalona za okrąg-
łym stolikiem, pękaty brzuch zwisał jej między
rozstawionymi udami. Krzykliwe kwiaty na su-
kience opinającej jej nalane ciało zwracały się
ku mnie z nieufnością dawno obumarłego piękna.
Obojętne oczy uważnie na mnie spozczyły. Z wa-
hanielem usiadłem naprzeciw niej, krzesło zajęczało.

W ustach Cyganki błysnęły ogniki złotych zębów.
Grube palce chwyciły me rece i ułożyły na bla-
cie stołu jakby się chciały wsłuchać w bicie mo-
jego serca.

— Przyszyła mnie Anka — powiedziałem nie-
pewnie.

— Mhm — brodę zwiesiła ku ziemi, a oczy do-
stawiała w słup. Potem obróciła me rece dłońmi w
górze i swym barokowym palcem zaczęła wodzić po
liniach.

— O love chunion, zniszcz prena, być czaczipen.

— Przepraszam, że kogo kocham?

— Ale nie, pieniądz ja dostać, wszystko praw-
da, być czaczipen. I ty włos, barona ena, dobra
bzoza.

— Ja, ja, być czaczipen — powiedziałem.

— Ale sok do pi, oprajtacha. Rozumieć? Li-
cie papusiać, nie pić sok. Potem ci aven maneki-
nos.

— To już chyba starczy — przerwałem jej w
chwili, gdy zaczęła mówić o mej świetlanej przy-
szłości w roli modela. Zaciekawilo mnie, ile za to
od Anety mogła dostać. Ponieważ moja żona nie
umiała żyć bez Diora, producenta samochodów
Forda i milionera Onassisa, na którego nogrzeb
chciała nawet jechać. A mnie chciała widzieć
w tym szeregu tuż za nimi, ciągle wierzyła, że
pomoże mi w karierze modela. Wiedziałem, że
nie chodził jej o moją śmiesznie niską urzędniczą

Z włosami i bez nich

Lubomir Machacek

pensję, bo sama zarabiała sumy, o jakich nie
śmiałybym nawet marzyć, lecz o prestiż naszej ro-
dziny. Czula się za mnie odpowiedzialna. Za moje
brudne skarpetki, przepoczone koszule i wypadają-
ce włosy. Było to wrzuszające, ale czasami jej
opiekuńczość grała mi na nerwach.

— O love chunion, pan się nie gniewać — po-
wtarzała w nieskończoność — tekola bala, włos
panu urósł... bzoza dobra, bzoza...

— Pani, czy pani wie, ile ja już przewierciłem
drzew, ja tym sokiem mógłbym zapełnić beczkę
od piwa i pić bez przerwy!

— Ach, ach, sok nie pić. Po co nisyć dzewa,
po co? O prajtacha, liścia zmielić i papusiać, bar-
dzo rósć włos, potem ci aven manekiinos, potem
mieć wielki bala.

— Bala! No pewno, skoro się otruję — przy-
pomniałem sobie o swoim woreczku żółciowym.
sięgnąłem do kieszeni po napiwek, ponieważ przy-
puszczałem, że Aneta Cygankę za owe manekinos
już sownie wynagrodziła i wyszedłem rozstrojony
i wściekły za swoją beznadziejną głupotę i za to,
że pozwalałam Anecie robić się w konia.

BYŁO LATO. Moja żona, o dziwo, nie miała w
tym roku, jak zwykle, wakacji, ale wyjechała gdzieś
do Egiptu, gdzie w ramach wystawy przemysłu
lekkiego odbywały się pokazy mody. Teskniłem.
Na szczęście listy od niej przychodziły kilka razy
w tygodniu, a w tym ostatnim informowała mnie
o wielkiej tajemnicy i niespodziance, dotyczącej
przede wszystkim mojej głowy. Mogłem sobie te
niespodziankę wyobrazić. Znowu wyrzucił kupę pie-
nędzy na jakiś zagraniczny preparat, a brzo-
wych liści mogą mieć pełne taczki albo nawet
przyczepy ciężarowe. Wszystko, o czym mówiła
Cyganka, nabierało w połączeniu z nagłymi li-
stami Anety pewnego sensu. Watpiłem wpraw-
dzie w swa ośniewająca kariere modela, ale na
te bujnie po brzożowych liściach rosnące włosy
mógłbym się jednak skusić. Myślałem długo. Po
kolejnej bezsennej nocy rano wstałem i udałem
się do sklepu, gdzie zakupiłem młynek do miesa-
nia w mym przypadku do liści. Po pracy wsiadłem
do wozu i pojechałem do lasu, żeby się o czaro-
dziejskiej cygańskiej metodzie przekonać na wła-
snej skórze.

Do domu wróciłem podrapany i zmęczony, lecz
ze zdobycza dla mnie bezcenna. Dopiero teraz,
patrzac na balie po brzegi wypełniona brzożowy-
mi liśćmi, uświadomiłem sobie, że Cyganka nie
powiedziała mi, w jakich proporcjach mam mie-
szać syron z liści z wodą, żeby się nie otruć. To
mnie jednak nie odstraszyło. Co się w końcu może
stać? Najwyżej włosy urosną trochę bardziej, a
przecież o to właśnie chodził, medytowałem nad
swoim odbiciem w lustrze.

Zacząłem upychać liście do młynka na mięso,
z którego wkrótce zaczęły wypadać do podsta-
wionej miski zastępy cienkich, nieskończenie dłu-
gich, żółtozielonych gasienic o ohydny zapachu.
To nie, liście są tylko bardzo aromatyczne, uspo-

kajalem sam siebie. Cel uświęca środki. Aneta będzie miała głubią minę, kiedy wróci i zastanie kogoś zupełnie innego. Będzie sobie mogła swój cud wsadzić gdzieś. Wizja bujnej grzywy, pleniacej się na mojej głowie, przyprowadzi mnie o szybszy puls.

A potem nadszedł moment, w którym w balii został ostatni zwiędły liść. Ze zmeczenia nie czułem już nadgarstka, ale musiałem się spreżyć. Najważniejsze miało dopiero nadejść. Zaden Dior, Ford czy Onassis, ale ja, Stasiu Womaczka. Coś we mnie drgnęło, coś wielkiego i prawdziwego. Nie myślałem o tym, czy się otruje i padne w straszliwych skurczach, ponieważ stała za mną cała armia lsyszczy, a ja byłem ich wodzem.

Gestego specyfiku z liści postanowiłem nie rozcieńczać i poradziłem z nim sobie za pomocą łyżki, jak z kaszą manna. Nie zdażyłem nawet mrugnąć okiem, by zauważyć, że preparat działa. Zapewne zrobiło mi się niedobrze, ale tego, jak też wielu innych rzeczy, które się ze mną działy, już nie odczuwałem.

— Zdejmij tę perukę, kochanie — ofuknęła mnie Aneta, gdy no miesiącu pojawiła się w drzwiach. — Przywiozłam ci coś paluszek lizać — mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Znowu walize z brudną bielizną postawiła w przedpokoju, a do jadalni wniosła torbę z zakupami poczynionymi podczas wояży.

— Bylem u Lakatoszowej — niecierpliwie przerwała odświeżona chwile rozpakowywania.

— Wiem. Ale zdejmij tę perukę, kochanie. Przejrzyj raczej żurnale — powiedziała energicznie i podała mi pismo. Pewno znów myślała, że jest górą.

— Ale to są moje włosy — powiedziałem jakby nigdy nie udając, że mnie żadna z tych rzeczy, nawet żurnale, nie interesują.

— No to przejrzyj to chociaż.

— Już je znam, ciągle te same twarze, nudza

mnie. Te włosy mi urosły od brzoźowych liści.

— Co za bzdury — podeszła do mnie i złapała za domniemana perukę. Zamarla, zaskoczona, gdy w palcach zostało jej tylko kilka włosów. Usiadła, chwile bezmyślnie spoglądała przed siebie, po czym się rozplakala.

— Nie cieszysz się — powiedziałem zgrzyliwie. — Potem ci awen manekinos! Manekinos to model, nie? Teraz już nim moze być.

— Właśnie, że nie możesz — zaszlochala, wydarła mi z ręki żurnal i otworzyła na drugiej stronie. Było na niej zdjęcie młodego mężczyzny. W ustach miał fajkę i uśmiechał się. Od pozostałych młodych mężczyzn, których wcześniej w żurnalach widywałem, różnił się tym, że był lisy. Coś mówił, nie znam jednak francuskiego. Aneta niestrudzenie kartkowała. Ze wszystkich stron błyskały do mnie wypolerowane lisyiny mężczyzn wszystkich kategorii wiekowych, jakby wiedzące pod pełnymi podziwu spojrzzeniami pięknych kobiet.

— Widzisz, już to nadeszło. Zapowiedź nowej mody, to są jej początki, rozumiesz! Kiedy wszyscy lysi się polaczają... jest was coraz więcej... moda dwutyśięczonego roku! Nawet kobiety próbują, też chciałam się ostrzyć — naburmuszyła się. — Umiesz mi popsuć każdą radość.

— Wiec się ostrzygę, a te gola czaszke jeszcze sobie wygolę brzytwa, będziesz ze mnie miała pocięte — zacząłem wściekle ryczeć. — Dziesięć lat przywożisz zewsząd jakieś gówna, wysyłasz mnie do Cygankę, smarujesz babskimi maściami, żeby mi urosło chociaż sto włosów, a teraz...

Nie ogoliłem się jednak, chyba na złość Anecie, choć ja kochałem. Lato się skończyło. Przetrzymałem wszystkie aluzje, prośby, wręcz żądania. Aneta wracała do domu coraz rzadziej, chyba odkryła jakiegoś lysego modela. Na początku chodziłem smutny, potem przywykłem do jej późnych powrotów. Przecież kiedyś to się ustabilizuje, pełen dobrej wiary przekonywałem sam siebie. Ale ustąpić nie mogę, nie byłbym wtedy mężczyzną. I tak przez większość dni tygodnia zasypiałem sam i budziłem się, gdy mojej żony, nie było.

PEWNEGO SŁOTNEGO PORANKA, gdy się obudziłem, Aneta siedziała na łóżku obok mnie i ustami dotykała mej twarzy. To nie był sen. Na dworze padało, więc gdyby jej tu nie było na pewno byłbym w gorszym nastroju. Ale Aneta była promienna słońcem, a do tego jeszcze kobieta.

— Kochanie, ja to przeczuwałam — powiedziała z zadowoleniem, delikatnie kładąc mi dłoń na czole i głaszcząc czaszkę. Nie mogłem zrozumieć co się dzieje, lecz kiedy jej dłoń ponownie dotknęła mej głowy, poczułem, że wychodzą mi włosy. Podbiegłem do lustra, żeby się upewnić. Naprawdę. Wsteczne spojrzenie rzucone na łóżko umocniło mnie w podejrzeniach. Na poduszce walały się strzepy mych loków.

— Ty mnie ostrzygłaś! — krzyknąłem. Znow musiała postawić na swoim, przemknęło mi przez głowę. Najchętniej dałbym jej w oysk.

— Stasieczku, ja myślałam, że ty dla mnie — słońce w niej zaszło a z nim uśmiechy. Jej usta ściągnęły się w niemy różowy korallik. Nie mnie nie wyprowadza z równowagi bardziej niż wyplerająca się kobieta. Zaczęłam błędnie krażyć po pokoju. Nawet cie nie dotknęłam, nie wierzysz mi? — żoladkowała się.

— Czyli według ciebie włosy wypadły mi same?

Zamknęła uśmiech na ustach, szelmowsko zmrużyła oczy.

— Wyjrzyj przez okno — kiwnęła głową.

Na dworze nie było nic interesującego. Przed domem stały dwa samochody, rzeźnik z przeciwną oznajmiał, że w piątek jest świniołobie. Dopiero później zauważyłem, na wielkim oiacu z prawej strony rosły cztery brzozy. Wczoraj jeszcze obrzucone liśćmi, dziś gołe z wyłysiałymi galeziami. Spojrzałem na kalendarz kojarząc zwiasek.

Chyba po raz pierwszy nienawidziłem jesieni.

Nie człowiek, a więc co?

Urszula Kolakowska

„KOBIETA to nie człowiek” — mówił niedawno nader szanowany pan, ścisłkając mi dłoń z rozczuleniem i litością. W tym stwierdzeniu, jakże często przez mężczyzn nadużywanym, uderzył mnie pewien szczegół, zapewne banalny, ale dość interesujący. Chodzi o etymologię słowa człowiek.

Otóż pierwotne „czelwiek” zostało najpierw przekształcone w „czolwiek”, a potem (czwartypięty wiek naszej ery) w „czolwiek”. Człowiek to słowo złożone, którego pierwszy człon, „czel”, powtarzał się w słowie „czeladź”, natomiast całość oznaczała należącego do czeladzi. Jeżeli zaś chodzi o drugi człon — wiek, znaczył on dziecko, albo sługa. Jednak u Słowian nie odnajduje się już podobnego znaczenia. Słowiański wiek to tylko siła (w językach litewskim i pruskim jeszcze sługa), a więc i w tym złożeniu, wyłącznie słowiańskim, znaczy w gruncie rzeczy to samo, po prostu siła czeladnia. Nasuwa się tu pytanie, czy w takim wydaniu „czolwiek” też brzmi dumnie?

Rozpięra mnie więc pycha, że nie jestem człowiekiem (nie jestem, ponieważ człowiek nie ma rodzaju żeńskiego), i duma, iż mienię się kobietą. Niestety, przy bliższej analizie okazuje się, iż powinniśmy rozpaczać, bowiem kobieta również nie brzmi dumnie. Słowo to znane jest w literaturze dopiero od Marcina Bleskiego (ok. 1550 r.) wyrażnie podkreślającego jego pejoratywne znaczenie. W „Sejmie niewieścim” w 1586 r. panie skarżyły się przeciw: „Mężę nas zowią białogłowy, prządki, ku większemu zelzeniu zowią, magają mężę nazywać żony kobietami, ale też nie do końca mają rozum sami”. Rzeczywiście kobieta pojawia się prawie wyłącznie w literaturze sowizdralskiej (a więc we wszelkich kpinach). Specjaliści twierdzą, że słowo „kobieta” pochodzi albo od koby — kobyły, albo od kobu — chlewu, ale naj-

prawdopodobniej, ich zdaniem, od kobu.

Ladnie, nie ma co! Z dwojga złego wybieram pochodzenie pierwsze. Czy kobieta, pocieszam się, to nie piękne stworzenie?

Ze słowa „kobieta” powstało inne — kobieciarz. W powszechnej opinii nie uchodzi ono za komplement, ale są mężczyźni, którzy lubią być za kobieciarzy uważani. Tak czy inaczej zarówno słowa „kobieta”, jak i „kobieciarz” kojarzą się z pięknymi. Kobieta bowiem, tak jak i jej „imienniczka”, dorodna klacz, potrzebuje pięknej oprawy. Ba, może nawet odrobiny luksusu!

Zapewne o luksusie marzy wiele kobiet. Ostatnio dwie znane Polki ogłosiły publicznie, że są kobietami luksusowymi, ale w moim odczuciu jest to tylko tęsknota do czegoś, co minęło bezpowrotnie, a czego współczesna kobieta w ogóle nie zaznała i nie zazna nigdy, chociaż żyć może gdzieś, by było inaczej. Przyznam, że bawi mnie, gdy kobieta mająca „fantastyczny samochód”, kilka futer w szafie, drogie perfumy i szpilki z wężowej skóry, uważa się za kobietę luksusową. A gdy dodaje, że na ten luksus sama ciężko pracowała, chce mi się krzyknąć: „Kobieto, puchu marny!” W moich odczuciu jest to w istocie tylko zaspokojenie potrzeby posiadania takich czy innych dóbr materialnych, a skala tych potrzeb może być przecie różna. Natomiast możliwość ich zaspokojenia zależna jest często głównie od tego, ile złotych zdecydowali się płacić poważni panowie za wyuczony i wykonywany przez poszczególną kobietę zawód.

Któż to więc jest ta kobieta luksusowa? Osobiście poznałam w życiu tylko taką jedną. Była to kobieta w olbrzymim kapeluszu z pióropuszem na głowie, w gorsecie z brykli i w długiej sukni z trenem, majestatyczna, uroczyta, obwarowana kolczastym drutem form i konwenansów. Urodzona w pałacu (a nie w „złotej klatce”), gdzie w

wielkich salach balowych tańczyła przez sześć tygodni karnawału, nigdy nie zabrudziła sobie rąk pracą, bo jak, mawiała, stworzona była do miłości i zbytku.

Czasy luksusowych kobiet w Polsce minęły, choć nie wiem, czy bezpowrotnie, bo indywidualne ambicje, mimo znanych trudności, bynajmniej nie maleją, niemniej dzisiaj rzadko kiedy tańczy się w pałacowych salach. Zwykle wywija się w ciasnych mieszkaniach, w których zbijani Kowalscy kolyszą się na paru metrach kwadratowych podłogi.

Materialistyczne podłoże życia zmieniło się zasadniczo, szczególnie, gdy życie towarzyskie zaczęło się przenosić do domu, do jak to się mawia potocznie, miast. Auto, kino, kawiarnia, dancing to był ten styl w Dekadzie Sukcesu. Obecnie lokale nie narzekają na nadmiar gości. Na dancingu trzeba nie tylko lepiej czy gorzej tańczyć, ale też i regulować coraz bardziej słone rachunki. Czasy nie są lekkie, nie oczekujemy od mężczyzn (nawet od tych, którzy mieniają się kobieciarzami) zbytnej rozrzutności. I tu nie chodzi wcale o kosztowne brylanty czy nawet zwykłą czesną biżuterię. Policzmy, ile kosztuje teraz kolacja z koniackiem lub likierkiem w średniej klasy restauracji! Dwadzieścia lat temu, za dwieście złotych można się było całkiem nieźle zabawić. Wiem, wiem, że zarobki dzisiaj inne, ale wiem też, że marże gastronomiczne sięgają niebiosów i każdy kierownik zakładu gastronomicznego woli duży zysk przy małym obrocie niż odwrotnie. Może w tej sytuacji warto wrócić do przedwojennych kanonów kultury, głoszących, iż „przyzwolta” kobieta może przyjąć od mężczyzny tylko kwiaty (też zresztą teraz nietanie!) i cukierki (na szczęście cukierki są już bez kartek), mężczyzna zaś nie może od kobiety przyjąć niczego.

Oczywiście w obecnych czasach niejedna kobieta potrafiła uniezależnić się od męskiego portfela, ale nie znaczy to, że równouprawnienie płci stało się faktem. Za uniezależnienie się finansowe, często zresztą częściowe, musi płacić zmęczeniem, bo obowiązków domowych przecież jej nie ubyło. A mężczyźni pilnie strzegą utrwalonej pozycji i głównie oni przesiedają w gabineciech za drzwiami obitymi skórą, a kobiety — sekretarki parzą im herbatę. „Macie wreszcie to, o coście walczyły” — mówią w formie niby to żartobliwej. Niech im tam! Zafundowali nam za to Święto Kobiet!

Właśnie w czasie dzisiejszych marzeń sennych spoczywałam w złotych łożu, przykryta atlasami, a zgrabni młodziankowie stawali przede mną złote tace z złotymi naczyniami pełnymi różnych smakolejków. Była i kawa, bynajmniej nie zbożowa. Potem piękne dziewczęta kapaly mnie w złotej wannie napełnionej mlekiem. Orzeźwiona tą wspaniałą kąpielą, stapałam po pałacowej posadzce, wyściełanej perskimi dywanami.

Przebudzenie było gorzkie. Leżałam na tapczanie pod zwykłą, podszycy wiatrem koldrą. Później popijałam ze zwykłej szklanki zwykłą herbatę ekspresową i zastanawiałam się, czy może właśnie w Dniu Kobiet, w dniu mojego święta, otrzymam przynależny mi już od wielu lat awans na adiunkta, abym była wreszcie w stanie kupić sobie upragniony hotel burjany...



Rys. Franciszek Masłuszczak

Humoreski Jacka Sawaszkiewicza

KORZENIE

NA klatce schodowej spotkaliśmy nieznaną damę, która stuknęła do drzwi sąsiada.
— Tego pana nie ma — poinformował ją tato. — Wyjechał na tydzień w delegację.

Dama omal nie zalamala rączek.
— Jako szkoda — westchnęła. — A tak go potrzebuję.

— Może ja mógłbym w czymś pomóc? — zaoferował się ojciec.

Nieznaną zmiarzyła go od czubków butów po czubek лысы i zaprzeczyła.

— Proszę mi tylko przekazać — dodała — że była u niego Maria Helena Utopicz-Mielec-Astowska.

— I te wszystkie panie tak go potrzebują? — wtrąciłem.

Dama uniosła wyżej głowę.
— Nie wiem o żadnych paniach — odparła. — To ja się tak nazywam.

Z szacunkiem odstąpiliśmy od niej o krok. Potem tato wyciągnął długopis.

— Może ja to sobie zapiszę — powiedział.
Nieznaną wyraziła zgodę.

— Proszę też przekazać sąsiadowi — zadysonowała — żeby mnie odwiedził. Niech pan zanotuje również mój adres.

— To chyba zbyt wiele — odrzekł ojciec. — Trafi do pani po samym nazwisku.

Dama przymknęła powieki.
— Niewątpliwie — powiedziała. — Nasza rodzina jest znana w tym mieście. Moji przodkowie mieszkali tu już w XVIII wieku. Dowodzą tego zapisy w księgach heraldycznych.

Tato nastawił uszu.

— Czy mówiąc o przodkach — spytał — ma pani może na myśli hrabiego Utopicza?

Nieznaną uniosła głowę jeszcze wyżej.

— Jestem jego wnuczką w prostej linii — oznajmiła.

Ojciec ucieszył się ogromnie.

— Co za niezwykle zbieg okoliczności! — zawołał. — Przecież mój dziadek był pomocnikiem stajennego w pani majątku.

Następnie zamilkł i z ekstatycznym uśmiechem pograżył się we wspomnieniach.

— Stare dzieje — stwierdziła ze smutkiem dama. — Wszystkie nasze dobra są teraz w rękach chłamów.

— Szkoda — powiedział tato nadal tonąc w ekstazie. — Dziadek bardzo sobie chwalił służbę u pana hrabiego. Żałuję, że nie ma już tych stajni. Ja sam z przyjemnością obrządzalbym konie.

Filigranowym paluszkiem pani otarła łezki z kącików oczu.

— Nie przejmujcie się, dobry człowieku — pocieszyła ojca. — Stajni wprawdzie już nie ma, ale jest garaż. Możecie czasem wpaść do mnie i umyć samochód.

— Naprawdę? — uradował się tato.

Dama skierowała wzrok w moją stronę.

— Chłopiec też może przychodzić — dodała. — Potrzebuję kogoś na posyłki.

— Jesteśmy zawsze do usług — zapewnił ojciec panią.

Potem odprowadził ją z rewerencją do jej fiacika i wrócił do domu rozpromieniony.

W końcu odnaleźliśmy swoje korzenie i będziemy mogli wskrzesić dawne tradycje.

— Dobra, dobra — ucięła ekspedientka. — Placi pan, czy mam zwołać kierowniczkę?

Tato wpadł w panikę.
— Placę — powiedział pospiesznie. — Po co zaraz tyle zachodu.

Długo przetrząsałiśmy kieszenie. Ich zawartość zdecydowanie nas rozczarowała.

— A może zamiast pieniędzy przyjmie pani towar? — podsunąłem.

Sprzedawczyni zapatrzyła się w ścianę. Wyglądało, że na coś czeka.

— Będziemy mocno zobowiązani — przyrzekł ojciec. — Potrafimy docenić wielkoduszność.

Pani odłożyła nasze rękawiczki na półkę.

— Robię to wyjątkowo — oznajmiła niedbale.

Omam jej nie uściskaliśmy. Tato pogalopował po kwiatach. Zostały przyjęte.

Od tej pory wszystkie krytyczne uwagi pod adresem handlu uważamy za krzywdzące.

Nasz handel umie handlować.

Może któreś święto nasze władze ogłoszą dniem otwartej toalety i będzie można ją zwiedzić?

Tydzień później razem z kolegami z klasy podkradłem się pod toaletę. Portier był czujny i od razu nas spostrzegł.

— Zmierzajcie stąd! — zażądał.

— Niech pan tylko powie — odezwał się Zyga — jak tam wygląda?

— Pysznie — odpowiedział pan. — Wszędzie marmury, kryształowe lustro, klimatyzacja, sedesy z hebanu i ciągle gra cicha muzyka. A niektóre muszle są z wodotryskami w środku.

Zaparło nam dech w piersiach.

— Z wodotryskami? — zdumiał się Marianek. — Po co?

— Ale portier nie miał czasu na wyjaśnienia. Popędził za mężczyzną, który zgity w pasie ukradkiem wśliznął się do toalety.

Niedawno toaleta dewizowa została zamknięta. Przynosiła deficyt. Ktoś zaproponował, żeby przerobić ją na szatnię publiczną, ale propozycję tę odrzucono, ponieważ obawiano się, że toaleta ulegnie szybkiej dekapitalizacji. Chyba dlatego jacyś panowie całe jej wyposażenie, łącznie z marmurową posadzką, przenieśli do swoich domków. Żeby to wszystko należycie zabezpieczyć.

Pomieszczenia toalety wynajmuje obecnie żona prezesa. Dzięki panującej w nich stałej ciepłocie, zbory pieczarek udają się tam znakomicie.

RĘKAWICZKI

TATO sprawił sobie rękawiczki. Kosztowały niecałe tysiąc czterysta złotych. Natychmiast po powrocie z miasta rozwinęliśmy je z opakowania. Prezentowały się nadzwyczaj pięknie. Tyle, że jedna była większa od drugiej.

— W zasadzie nie jestem drobiazgowy — oświadczył ojciec — ale czasem lubię mieć coś do pary.

— Nie prostszego — powiedziałem. — Wystarczy jeśli zaniesiesz rękawiczki tam, gdzie je kupiłeś i poprosisz o zamianę.

Niezwłocznie wróciliśmy do sklepu. Pani sprzedawczyni była ta sama, ale jakoś nie mogła nas sobie przypomnieć.

— Na pewno u nas kupowane? — zapytała podejrzliwie.

Tato uderzył się w piersi.

— Daję słowo — przysiągł. Chwilę obserwowaliśmy, jak ekspedientka zapoznaje się z wyglądem.

— To znaczy, że kupił pan dwie pary! Tylko się panu pomieszały.

— Nic podobnego — powiedział ojciec. — Nie stać mnie na rozrzutność.

Pani posmutniała. Żeby ją wprawić w dobry humor, pokazaliśmy jej paragon. Poskutkowało.

— Rzeczywiście zapłacił pan za jedną parę — stwierdziła ucieszona — ale wziął pan dwie. Dlatego proszę o zwrot pieniędzy albo rękawiczek.

Trochę potrwało, zanim zdołaliśmy ochłonąć.

— To chyba jakieś nieporozumienie — rzekł ojciec i znowu uderzył się w piersi. — Zaręczam pani, że wzięłem tylko tę jedną parę.

TOALETA

NA centralnym placu naszego miasteczka rozpoczęto roboty budowlane. Pod wiatą, opadał deszcz, siedział na przewróconej muszli klozetowej mężczyzna w podkoszulku. Siedział i przyglądał się pracującej koparce.

— Budujecie przejście podziemne? — zagadnął go tato.

— Jakże tam przejście? — obruszył się mężczyzna. — Toaletę tu stawiamy!

Ucieszyła nas ta wiadomość.

— Nareszcie — powiedział ojciec. — Miejska toaleta już od dawna była nam potrzebna.

Mężczyzna znowu się obruszył.

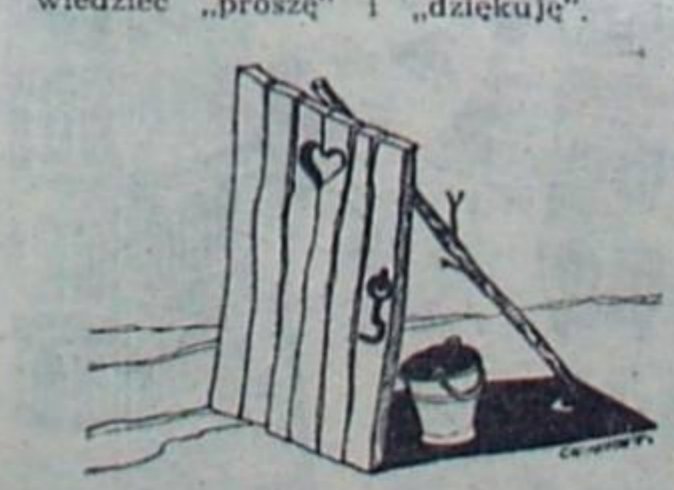
— Jaka tam miejska. To będzie toaleta wyłącznie dla turystów dewizowych — wyjaśnił.

Ogarnęło nas lekkie rozczarowanie. Mogliśmy jedynie żywić nadzieję, że gdzieś za granicą budują toaletę z myślą o nas.

wej. Ostatecznie powierzono ją żonie miejscowego prezesa.

— Żona prezesa — wyjął mi kłosek dnia tato — zatrudniła u siebie w toalecie trzy pomocnice. Wszystkie mają studia i operują kilkoma językami.

— Chyba po to — domyśliłem się — żeby umiały po cudzoziemsku powiedzieć „proszę” i „dziękuję”.



Toaleta dla tubylców.
Rys. Zbigniew Cieniuch

— Zatrudniła też portiera — ciągnął tato. — Jest ubrany w liberię, krąży przed wejściem i pilnuje, żeby do toalety nie wtargnął jakiś tubyliec.

— Szkoda — powiedziałem. — Chciałbym zobaczyć, jak tam jest w środku.

— Pewnie wszystko opływa w luksusie — rozmarzył się ojciec. —

ZAWSZE mnie zadziwiało, jak to, wychodząc od blahaego skojarzenia, może człowiek dotrzeć do najdziwniejszych subtelności. Po ostatniej rozmowie z moim dobrym znajomym, który zawsze coś wyszpera, odkryłem na przykład różnicę między rewolwerowcem a „pistoletem”. (Przyznaję przy tym lojalnie, że do broni nie miałem nigdy szczególnego cugu, a moja dziecienna kolekcja ołowianych żołnierzyków należała chyba do najuboższych w mieście. A jednak.) Z dwojga złego niech już będzie „pistolet”; rewolwerowiec budzi jedynie cierpkość w mojej duszy. Ale dość zagadek na chwilę obecną.

Jak powszechnie wiadomo, rewolwerowiec to w gangstersko-westernowym światku taki facet, który za pieniądze odwalia mokrą robotę. Niechby więc sobie istniał na kinowym ekranie bądź przynajmniej trzymał się pukawkowo-wolnorynkowej rzeczywistości. Ale nie, on już dawno wdepnął w nasze życie i rozbija się tam, gdzie tylko funkcjonuje orzeź. (Choćby — ostrze prasowej krytyki.)

Pewnego razu, na przykład, w tytoniowym zagłębiu pod Lublinem pojawiła się nagle dziennikarka-rewolwerowiec. (Opowiadał mi ów znajomy.) Zadanie miała proste, dla rewolwerowca wymarzone, nie wymagające trudu, a dające huku co niemiara. Zlecenie opiewało na zagładę najbogatszego plantatora we wsi. Pochodziło od jednej z tych liberalno-patriarchalnych redakcji, które od czasu do czasu miewają dziwną słabość do prasowych rozbójników. Przyjechała więc, rozszarpała się, wypita okolicznościową kawę. Mając tekst gotowy nim jeszcze dopadła swą ofiarę, szybko pożegnała miłego rozmówcę, udała się na zakupy do miejscowego sklepu GS-u (na głębokim zapleczu zawsze przytali się coś, czego, na przykład, w stolicy od dawna już nie uświadczy). Przeznaczony do odstrzału rolnik zaczął tymczasem z satysfakcją ręce dumając nad zmienną koleją spraw na tym świecie. Sumienie miał czyste, zapal do racjonalizacji, fortuna mu sprzyjała; czyżby więc ci z głową na karku i pieniędzmi w kieszeni mieli zacząć się liczyć? Gdyby nie owo zadumanie, pewnie szok byłby mniejszy. Według najlepszych kanonów błodo-wypaczeniowej nagonki na kulaków dama z rewolwerem zniszczyła go bezlitośnie. (Nawet sąsiedzi wyczuwali szwindel.) No cóż, u nas wciąż jeszcze pasożyt to także jeden z tych, którym powodzi się odrobinę lepiej od przeciętności. Redakcja dostała swoje (ostre, twarde tekst i kilka listów), rewolwerowiec odebrał zapewne premię.

Powszechnie znana zasada psychokryminalistyki głosi, iż ofiarą osobni-

Legenda która żyje obok nas

MARIA Callas nigdy nie była w Polsce. Prawdopodobnie dlatego, iż żadnej instytucji w naszym kraju nie stać byłoby na zapłacenie olbrzymiego honorarium, jakiego artystka żądała za każdy swój występ. W chwili debiutu w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku wypłacono jej za każdy spektakl 1000 dolarów, dodając 2000 na koszty podróży oraz 3000 na koszty własne, związane z dwunastoma przedstawieniami i dziewięcioma tygodniami jej pobytu.

Pisać o Callas jest więc niezmiernie trudno, bo można to czynić opierając się jedynie na relacjach znających ją osób, a tych jest w naszym kraju niewiele, czy też na plotkach powtarzanych przez prasę całego świata.

Rewolwerowiec

Wiesław Horabik

ków bojowych padają najczęściej indywidua słabe, mało znaczące, najchętniej już doprowadzone pod strzelca nagonką z kołatkami (naczelnik gminy przygotowywany do dymisji, prowincjonalny dom kultury, czy jak powyżej, jednostka zamożna, której słabość polega na naszym specyficznym przekonaniu, że cnota jedynie w ubóstwie). Atmosferę zaś Dzikiego Zachodu kreuują niekiedy same redakcje w dobrej twardej walce o czytelnika. Jak powiadał w dawnych westernach sprawiedliwy szeryf: „Facet-hiena z pukawką w dłoni cuchnie na odległość”. To prawda. Rewolwerowiec, mówiąc najłagodniej, rzuca się w oczy.

Wpadając do redakcji fortrąca nie tylko krzesła przycupnięte w przejściu, lecz także mniej nieomylnych kolegów, nie mówiąc już o personelu biurowym. „Nasiadówki” odbywa z posępną miną, ozywając się jedynie w chwili, gdy (co nieuchronne) dyskusja znów powróci do swego nurtu głównego, tj. do osoby samego rewolwerowca. Penetrując środowisko, rewolwerowiec nie szuka tzw. prawd obiektywnych, one bowiem bywają z reguły bez dymu i ognia; co najwyżej ustala miejsce, w którym raz po batach boleć będą najdłużej.

Kariera rewolwerowca bywa z zasady błyskotliwa, choć krótkotrwała. Szybko staje się sławny, a ludzie mi-

jający go na korytarzu poszeptują z szacunkiem: „To ten, który załatwił panią Krysię z handlu”, lub: „To właśnie redaktor R., śmiertelny wróg inżyniera K.”. Najczęściej taka gloria musi wystarczyć na całe życie. Rewolwerowiec nie zna innych weseł, jak tylko z ciężarną panną młodą, innych zakładów pracy, jak tylko z nieudolnym wicedyrektorem, innych miejsc na ziemi, jak tylko te śmierdzące brudem i zaniebanie. Niebo dla rewolwerowca jest zawsze zasnuwane burą oponą chmur, a trawa wyliniała lub odwrotnie — pomalowana na olejno.

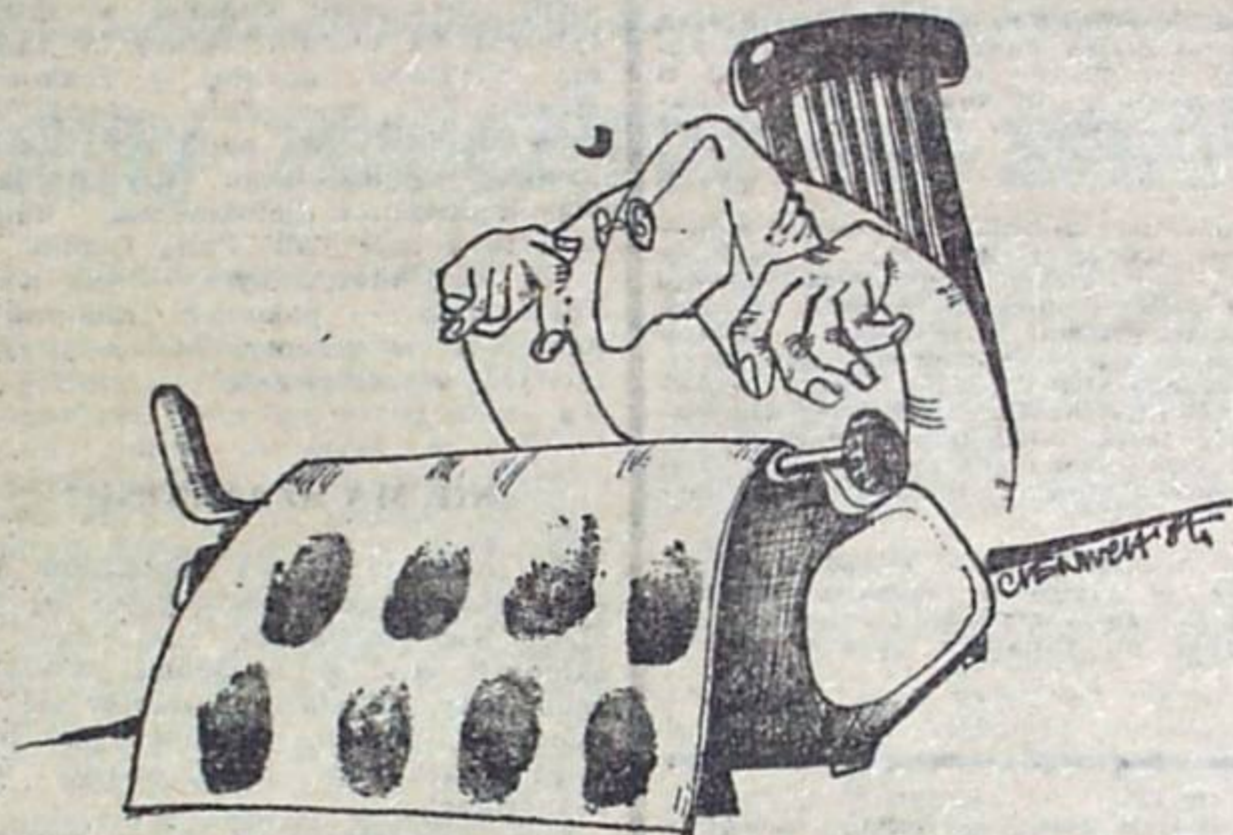
Rewolwerowcy groźni są nie tylko w dobijaniu, lecz już w procesie rozpoznawania przyszłej swej ofiary. W jednej z lubelskich instytucji dyżurny pracownik musiał odmówić dziennikarzowi informacji, gdyż nie lubi ordynusów. (Rewolwerowcy, jak wiadomo, nie proszą, lecz jedynie żądają, terroryzując przy tym bliższe i dalsze otoczenie.) Zdarza się wszakże i sytuacja nietypowa, ekstremalna, gdy, na przykład, rewolwerowiec trafi na rewolwerowca. To zderzenie kosztowne. Zaciekle strzelanina wymaga wszak wielu papierowych kul (towar deficytowy), emocje budzi wyłącznie w gronie w tajemniczonych zawodowców, a rozstrzygnięć, przewrotnie, nie oferuje żadnych. Tak właśnie joczy się ostatnio ostry bój o jedną z placówek wychowawczych, której wizerunek dwaj rzemieślnicy pióra widzą krańcowo różnie. Źródła ich informacji kształtowały się widać na dwóch przeciwstawnych biegunach, a rewolwerowiec, jako się rzekło, nie hołubi zasady — prawda w różnorodności. Wspomniany pojedynek nie jest jeszcze dnem najgłębszym. (Walczący nie mierzą programowo w siebie, lecz wciąż jeszcze za ich ple-

cami widać skrawek wzmiątkowanej instytucji.) Bywa znacznie gorzej i o wiele smutniej. Najsmutniej wtedy, gdy dziennikarz nie-rewolwerowiec nagle przeradza się w rewolwerowca. (Rewolwerostwo nie jest, co oczywiste, dziedzinne, stąd stała możliwość owej metamorfozy.) Toczą się potem personalne wojny podjazdowe, państwowy papier spływa tonami, czytelnik zaś musi brnąć w jakieś obce mu drzewa genealogiczne. Takie rewolwerostwo chwilowe objawia się bowiem najczęściej na widok niemiłej sobie osoby.

Gdzieś niedawno przeczytałem artykuł o mafijnym procederze lokalnej władzy z Kłodzka. W mieście tym nie byłem, rzeczywistości tamtejszej nie znam i choć tekst był ostry i wojujący, zadumałem się nad faktem, iż wypowiedź „oskarżonej” (naczelnik miasta) zawierała się w czterech liniach wyrwanych na chybił trafił zdań, podczas gdy wywód „oskarżającej” biegł przez całą kolumnę. Nie rozskrzygając o racjach od razu coś mi tutaj pachnie podejrzeniem.

Ktoś kiedyś ładnie powiedział, że życie bywa bardziej fantastycznie niż najgłębsza fantazja. Dlaczego nie chcą o tym pamiętać rewolwerowcy? Czy dorabianie światu fałszywych skrzydeł jest zabiegiem potrzebnym? Czy owe pełne huku burze w szklance wody to zobiektywizowana prawda o naszych problemach? To fakt, że „grzeczny Jasio” nie robi reportażu z obozu nikaraguańskich kontras ani nie wyszpera kolejnej afery spod kryptonimu — gatte. Ba, nie krzyknie nawet na rodzime budownictwo mieszkaniowe! To musi być „pistolet”, który wszędzie dotrze i załatwi co trzeba. Osobnik przedsiębiorczy, pełen energii, ale i uczciwości. Niechże pisanie o naszych sprawach będzie drażniące, penetrujące, lecz sprawiedliwe w ocenach. I choć dziennikarze pokoju nie wywalczą, to małą wojnę mogą zawsze zrobić. (Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby na przykład w Jabłonnej zamiast „pistoletów” zasiedli rewolwerowcy). Ot i wspomniana na początku różnica. Różnica to subtelna, a jednak poważna. Chodzi wszak o uczciwość.

No i proszę, jak to ładnie pisze się o tym, co najbliższe. Nikt potem nie powie, że „siebie to nie widzą”, czy że „krytykować innych to zawsze najłatwiej”. Rewolwerowcy pewnie zawsze będą, bo bez nich życie straciłoby coś z tempa; żeby tylko wiedzieli, kim naprawdę są! Choć nie zjadłem, jak to się ładnie mówi, zębów na tym fachu, pozwoliłem sobie przewrotnie na niniejszy zapis.



Rys. Zbigniew Cienluch

Zycie tej primadonny opery obfitowało w tyle najbardziej niezwykłych historii, że prześcignęła sławę, jaką cieszyła się jako śpiewaczka, aktorka, a nawet reżyserka. Nagle wszystkie ploki ucichły. Przystaliśmy widywać zdjęcia i nazwisko Callas. W 1977 roku artystka zmarła na atak serca mając zaledwie 54 lata. Spadła już wówczas nieco ze szczytu.

Niektórzy sądzą, iż była bardzo samotna. Kilkanaście lat wcześniej przeprowadziła rozwód z Meneghinim, dużo od niej starszym włoskim przemysłowcem. Od tej pory szła swoją własną drogą. Uważała siebie za postankę sztuki. Mówiła: „To tak, jak obowiązek matki. Nie ma nic nadzwyczajnego w fakcie, że matka bez reszty oddaje się dzieciom. Na tym po prostu polega zadanie, które musi spełniać, nie oczekując od dzieci niczego w zamian”.

Po kim Maria odziedziczyła piękny głos i miłość do muzyki? Ojciec jej, z zawodu farmaceuta, nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do talentów. Był wykształcony, niezmiernie pracowity i obydwie te zalety zapewniały mu pozycję oraz możliwość zdobycia pieniędzy dla zapewnienia bytu żonie i dwóm córeczkom. Uważał wręcz, iż żona, Ewangelia, widząc w córkach artystki, zabiera im słodkie chwile dzieciństwa. Natomiast matka dziewczynek, mając w pamięci przepiękny głos swego ojca, a ich dziadka, przekonawszy się co do talentu córek, nie tylko kształciła je w tym kierunku, ale także lubiła się nimi popisywać. Kiedy teraz patrzymy na zdjęcia Marii Callas, widzimy na nich bardzo atrakcyjną kobietę, o pięknej twarzy i smukłej sylwetce. Jakoś trudno sobie wyobrazić, że była ona kiedyś tłustą dziewczynką, noszącą okulary z powodu krótkowzroczności. Do tych

cech dołączyła nieśmiałość, wynikająca z kompleksów i, co za tym idzie, samotność. Nie była lubiana przez rówieśników, a matka wyraźnie wyróżniała starszą córkę, Marię traktując trochę jak przedmiot wydający piękne dźwięki. Dziewczynka nie znośiła więc żadnych popisów, które jej narzucano. Ale świat muzyki był dla niej, od początku, czarownym ogrodem, w którym nabierała sił i niesłychanej pewności siebie. Rozpowszechnia się opinia, iż Maria, w młodości, broniąc swej sztuki potrafiła być agresywna, jak chociażby tego dnia, kiedy mając niecałe osiemnaście lat śpiewała Toskę w zastępstwie chorej sopranistki Opery Ateńskiej. Podobno przed przedstawieniem usłyszała za ścianą garderoby głos: „To tłuste szczenię nigdy nie poradzi sobie z tą partią”. I wtedy z wściekłością rzuciła się na mówiącego to słowa mężczyznę.

Niedawno wydana w Polsce wyczerpująca biografia śpiewaczki, napisana przez jej rodaka Steliosa Galatopoulosa, rzuca nieco inne światło na te wydarzenia. Tak naprawdę Maria Callas stała się sobą na początku lat pięćdziesiątych, kiedy dla sztuki zrobiła to, co kobieta może uczynić jedynie dla mężczyzny. Schudła w ciągu szesnastu miesięcy z 92 kilogramów do 63. Jej nowe wcielenie stało się jeszcze jednym elementem wzbogacającym sztukę. Lecz pozbywszy się olbrzymiego problemu, artystka nie mogła nie uniknąć następstw swej śmiałej decyzji. Kłopoty ze zdrowiem, wzrastająca nerwowość, wszystko to stało się przyczyną mniejszych lub większych zatargów z najbliższymi, z innymi artystami, z publicznością. Wszystkie te sprawy natychmiast podchwytowała prasa i karmiła nimi świat. Trwało to długie lata, co więcej, sięgano do przeszłości, dopisując

najbardziej nieprawdopodobne historie do życia wielkiej primadonny. To fakt, że Callas nie unikała skandali. Można nawet myśleć, iż świadomie je prowokowała. A przecież to tylko głos i ci, którzy go słuchali, zapewnili jej sławę. A wielkiej sławie trudno o sekrety...

W tym roku upływa dokładnie dziesięć lat od śmierci słynnej Greczynki, o trudnym do wymówienia nazwisku — Calogeropoulos (później zachowała tylko pierwszy i ostatni człon). Na szczęście żyła w naszych



Repr. Robert Lipaki

czasach, kiedy gramfon przeszedł znaczne udoskonalenia, a sztuka filmowa znalazła się w okresie rozkwitu. Możemy więc słuchając jej głosu, uświadomić sobie, jak ważną rolę odegrała ta kobieta przez niespełna 15 lat kariery. Przywróciła teatrowi operowemu świetność, ożywiła go. Wniosła na scenę ciepło, przybliżając ją do życia.

Do opery chodzi się nadal na wielkie wydarzenia, a także, by posłuchać wspaniałych śpiewaków. Ale cały czas podświadomie czeka się na drugą Callas, kogoś takiego, kto potrafiłby, jak ona, jednego wieczoru zgromadzić na sali liczącą kilka tysięcy miejsc najświetniejszą publiczność, na czyj występ fałszywe bilety sprzedawałoby się po 100 tysięcy lirów, kto wywołałby w sercu najsilniejsze wzruszenie...

„I to właśnie jest jej dziełem — pisze S. Galatopoulos. — Bo gdy śpiewa lub, ściślej, gdy rzeźbi dźwięk, bierze nas w posiadanie to zgrozą, to słodyczą powoływanej postaci. Oszaleńcza jeszcze bardziej, gdy głos jej zaczyna brzmieć, nieczym odległy, stłumiony dźwięk skrzypiec: śpiewem przywołuje wówczas obraz gwiazd spadających po wzburzonym niebie, płomienisty łuk rozsypujący się kaskadą światła nad głowami zamarłych w zachwycie słuchaczy; a gdy burza minie, często nadchodzi łagodne lśnienie słońca lub jasny blask księżycy wśród niewiarygodnej prawie ciszy. Za to wszystko chyliny przed nią czoło”.

Irena Filus

z notatnika

Dokończenie ze str. 2

24 II. „Trybuna Ludu” zamieszcza tekst przemówienia Andrzeja Wasilewskiego. Sekretarz KC PZPR zabrał głos na ostatnim posiedzeniu Narodowej Rady Kultury.

„Jeżeli wolno uciec się do analogii — stwierdził A. Wasilewski — również kulturze przydałby się jakiś ruch ekologiczny dla odkażenia zatrutej atmosfery. Manipulatorskiej presji na opinię przeciwną do manipulacji, presji opinii krytycznej na manipulatorów. Dalszej emisji urazów i uprzedzeń przeciwnych trzeba ruch na rzecz samoczyszczenia się środowiska z zakłócających normalne relacje międzyludzkie toksycznych osadów. Polityka kulturalna będzie sprzyjać powrotom do normalnych i zdrowych relacji międzyludzkich i międzygrupowych, powrotom bez utraty twarzy, ale i bez stawiania specjalnych warunków. Niech nikt za noszenie dumnie swojej głowy nie żąda za to ceny innych głów.”

I dalej: „Polityka kulturalna będzie się przeciwstawiać tendencjom do takich przekształceń strukturalnych, które prowadzą do dwubiegunowości naszego życia z wszystkimi znanymi już negatywnymi następstwami. Istniejące związki i stowarzyszenia twórcze polityka kulturalna uważa za partnerów, współkształtujących procesy decyzyjne. Ich troską winno być stale umacnianie się w roli mandatariuszy swego środowiska, tak jak powinnością władz jest respektowanie ich podmiotowości. W tym systemie partnerskim nie ma miejsca dla antagonizujących struktur alternatywnych. Nikt, kto rzeczywiście ceni różnorodność, nie może znajdować nie pociągającego w ponurej i konfrontacyjnej dychotomii, jaką nazwano u nas pluralizmem. Swobodna i pogłębiona różnorodność może rozkwitać w pełni tylko wtedy, gdy usunięte zostaną psychiczne bariery, wznoszone przez zagorzałego ducha konfrontacji. Polityka kulturalna jest i będzie otwarta

na różne formy zrzeszania się ludzi kultury, ale to, co służy wzniesieniu konfrontacyjnych barier, co dzieli Polskę od wewnątrz na przeciwstawne bloki, co gorącą granicę oddaloną od kraju stara się poprowadzić pomiędzy ludźmi — nie znajdzie dla siebie miejsca w konstytucyjnych strukturach.”

Jestem właśnie po lekturze książki Wojciecha Roszewskiego pt. „Poza zasięgiem hipnozy”. Rzecz (obszerna) prawie w całości jest poświęcona Kongresowi Kultury Polskiej zwołanemu na dzień 11 grudnia 1981 roku. Pomijając komentarze autora, dla mnie wymowne są przede wszystkim obszernie cytowane przez Roszewskiego wystąpienia poszczególnych mówców. Już tylko z tego względu warto tę książkę przeczytać. A później przemówić.

I III. Tzw. komisja Towera (John Tower, przewodniczący tej komisji jest byłym senatorem republikańskim z Teksasu) ogłosiła raport mówiący o roli Krajowej Rady Bezpieczeństwa w głosnej „afery irańskiej”. Raport czyni próbę wybielenia roli prezydenta w aferze i właściwie nikogo nie obwinia za to, co się stało, aczkolwiek sam Tower w odpowiedzi na wnikliwe pytania dziennikarzy musiał stwierdzić, że prezydent popełnił błędy, ale przecież

wszyscy prezydenci USA — do dziś — popełniali błędy, często poważniejsze niż prezydent Reagan...

Przed opublikowaniem raportu komisji Towera prezydent Reagan sam spotkał się z przedstawicielami prasy. Pod jego adresem wysunięto zarzut, że ustnie aprobował koncepcję przeprowadzenia tej głośnej transakcji z Iranem. Reagan nie zaprzeczył. „Sądząc, że jest możliwe, iż zapomniałem o tym” — stwierdził publicznie, a potem sam zapytał dziennikarzy, czy któryś z nich może powiedzieć, co robił 8 sierpnia 1985 roku? Nikt się nie zgłosił, nikt nie podniósł ręki, wówczas Reagan oświadczył, że jest sprawą zupełnie możliwą zapomnienie różnych rzeczy.

Wszystko to wyglądało jak groteska, gdyby rzecz nie dotyczyła sprawy o niebagatelnym znaczeniu. Prezydent największego kapitalistycznego państwa, który jest władny wydać rozkaz naciśnięcia guzika, co doprowadziłoby do unicestwienia ludzkości po prostu oświadcza, że mógł zapomnieć... I nie chodziło tu wcale o, dajmy na to, sprezentowanie kwiatów na urodziny pani Nancy...

Rzeczywiście przyszło nam żyć w barzo zwariowanym świecie!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

Na wyjeździe w Puławach odbyła się znowa premiera Lubelskiego Teatru Muzycznego — „Madame Dubarry” Karla Millöckera. Udana scenografia, przyzwoity poziom. Bardzo poprawnie grali swe role: Eleonora Krzesińska jako Madame Dubarry i Andrzej Chmielarczyk jako głuchoniemy sługa Bellefiora. Reżyseria Ryszarda Zarewicza, opracowanie muzyczne Ryszarda Komorowskiego, choreografia Henryki Komorowskiej i Klaudiusza Głabczyńskiego, scenografia Teresy Ponińskiej. Chór przygotował Tadeusz Chyla.

W galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Grażyna Czapska, architektka wnętrz, przedstawiła swój dorobek twórczy. Malomiast w Muzeum Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego mogliśmy obejrzeć 45 eksponatów szkła artystycznego projektanta Lubelskich Hut Szkła, Grażyny Unold.

Dzięki zabiegom Towarzystwa Polska — Ameryka Łacińska 16 lutego br. w auli KUL-u wystąpił Teatr Eksperymentalny z Argentyny ze sztuką „El Bochicho”. Przedstawienie przygotował autor i reżyser Emeterio Cerro, a udział wzięła jedna z najlepszych artystek argentyńskich, aktorka roku 1984 — Lidia Catalano.

Wiele już lat trwa bliska współpraca województwa zamojskiego z Bułgarskim Ośrodkiem Kultury w Warszawie. W bieżącym roku w dniach 24-26 lutego w Zamościu, Tomaszowie, Hrubieszowie i Krasnobrodzie, w ramach cyklu „Spotkanie z Bułgarią”, odbyły się: spotkania („Współczesna kultura Bułgarii”, „Bułgarska szkola a młodzież”), wystawy — malarstwa, grafiki, zdjęć, wydawnictw, a także projekcje filmowe.

Na Podlasiu popularni artyści scen warszawskich wspólnie z Towarzystwem Spiewaczym „Harfa” i WDK zorganizowali w wielu miejscowościach 14 koncertów (muzyka, piosenka, poezja i iluzja).

W dniach 20-21 lutego br. w sali Filharmonii Lubelskiej wystąpił gościnnie Karol Teutsch — dyrygent, skrzypek, przy tym wybitny interpretator i znawca muzyki klasycznej. Wykonał dwa dzieła Saliergo: koncert na flet, obój i orkiestrę i Symfonię D-dur „Wenecka” oraz utwór Mozarta — Symfonię A-dur KV 391. Jako solista wystąpił: Jan Arnał — oboista i Lech Szost — flecista.

Miła wiadomość nadeszła z Japonii z miejscowości Wakayama. Lublinianin Maksymilian Snoch otrzymał tam i nagrodę za linoryt „Widok Nr 1”. W konkursie brał udział artysta z 46 państw. Przypominamy, iż Maksymilian Snoch, absolwent Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, jest związany z Lublinem od 1972 r., ostatnio jako docent w

Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS.

W pałacu Malachowskich w Natęczowie zorganizowano dużą ekspozycję plastyczną: „Wystawa zimowa” — twórców skupionych wokół Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Edukacji Plastycznej. Reprezentują oni różne kierunki poszukiwań twórczych, techniki i sposoby artystycznej wypowiedzi.

Od 16 stycznia do 20 lutego br. w USA przebywał Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej im. Wandy Kaniorowej. Dał 30 koncertów, m.in. w Nowym Jorku, Chicago, Detroit, Bostonie, Filadelfii. Występy lubelskich tancerzy spotkały się z przychylnymi recenzjami.

Jubileusz 30-lecia świętowało Stowarzyszenie Księgarzy Polskich w Lublinie (tradycje tego ruchu społeczno-zawodowego sięgają połowy ubiegłego wieku). W uroczystościach udział wzięli m.in.: Karol Skwarczyński — wiceprzewodniczący Zarządu Głównego SKP i Longin Cypel — współzałożyciel SKP na Lubelszczyźnie. Kilkunastu aktywistów SKP uhonorowano odznakami: „Zastużonemu dla m. Lublina” i Złota Honorowa Stowarzyszenia Księgarzy Polskich.

W Biurze Wystaw Artystycznych w Lublinie 27 lutego br. otwarto wystawę grafiki Grzegorza Mazurka i Antoniego Mikolajczyka pt. Instalacja „Przestrzeń Materiałna”.

(kop.)

Zderzenia

POLFO, POLFO SPRAWA SIĘ RYPLA!

Jakież było zdumienie klientki, kiedy rozwijając kupioną w sklepie rybnym na osiedlu Tatarski w Lublinie wędzoną mirunę — znakomitą zresztą — przeczytała nadruk na spowijającym ją papierze: „Strzykawka jednorazowego użytku, jałowca-niepirogenna-nietoksyczna, numer taki to a taki, LZP Polfa Lublin”.

No, cóż, można było — jak pisał Teleexpress — pakować „radomskie” papierosy w recepty, można i ryby zawijać w „strzykawkę”!

NIE MA SZAMPONU?

To mydlikiem! Już Hipokrates docenił zmydlające właściwości tej rośliny. Nie trzeba za nią biegać po sklepach, stać w kolejkach, zalać spód lady. Wystarczy przejść się po miedzach, polach, popatrzeć pod płotami i parkanami, po ogrodach i warzywniakach.

Saponaris officinalis rośnie gromadnie i dostępnie. Wystarczy wykopać korzeń, drobno skroić i wysuszyć...

Nasze ludowe babcie nie miały takiej zgrzyoty z powodu braku szampunów w sklepach!

OKULARY W CENIE

Czemu nie? Policzmy: najmodniejsza, drukowana oprawki firmy Opton West Germany — 73 dolary, do tego szkła — w zależności od wskazań lekarza — od 20 dolarów, to wszystko raz — „przelicznik”, który trzyma się mocno, i mamy — plus-minus — 85 tys. złotych.

Nową ofertę sprzedaży w oparciu o wyroby firmy Opton wprowadził ostatnio Pewex w znanym klientom sklepie optycznym przy Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Do listy pewexowskich towarów o niezwykle szerokim asortymencie, bo od traktorów do wód gazowanych „Seven Up”, od komputerów do wód toaletowych „Kobako”, od desek klozetowych w różnych kolorach do żłódek na przeczystwienie „Paracelsus”, dochodzi jeszcze optyka, i bardzo dobrze!

Aby jednakże nie być posądzonym o krótkowzroczność (i czarnowidztwo) dodajmy czym prędzej, iż w tym samym sklepie i jemu pochodzących sklepach fotooptycznych w Lublinie nabyć można — za operatywną przyczyną WPHW — importowane, równie modne i ładne oprawki i szkła, które uzupełniają deficyt krajowej produkcji za złotówki. Najdroższe oprawki są w cenie 1500 złotych, a całość ze szklami nawet do czterech dioptrii niewiele przekracza sumę dwóch, no, powiedzmy, dwóch i pół tys. złotych.

Zaopatrzenie więc lubelskich szkłańców optycznych jest dobre, co ponoć chwala klienti.

A kiedy ruszy produkcja szkieł w śląskich zakładach, to kto wie, czy firma Opton nie będzie musiała obniżyć ceny?

Ale to już nie nasze zmartwienie! (dey)

PAMIĘĆ

Panie Redaktorze, w „Kamieniu” od pewnego czasu prawdziwy festiwal o Stachurze, już trzech autorów, pracowników „Kamienia”, którzy go znali osobiście, o nim pisali. Czytałem z zainteresowaniem, nawet śmiałem się czasami, bo każdy z piszących miał swój styl, było jakieś starcie poglądów, każdy widział go właściwie inaczej. Wiedza o Stachurze bardzo się więc wzbogaciła. Ale przecież na Stachurze poezja się nie kończy. Zbliżyć do młodych czytelników poezję innych twórców, którzy mieszkali w Lublinie, chociażby Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego, K. A. Jaworskiego, że wymienię przykładowo tylko te trzy nazwiska. W tym roku np. mija 90 rocznica urodzin K. A. Jaworskiego, założyciela „Kamienia”, wspaniałego człowieka, pedagoga, wychowawcy, pisarza. Poznałem go przypadkowo w czasie pewnego wieczoru autorskiego w Natęczowie. Czytał swe wiersze, które wywarły na mnie wielkie wrażenie. Czy „Kamień”, czy lubelskie wydawnictwa, czy lubelskie władze kulturalne zamierzają w jakiś sposób uczcić tę rocznicę? Piszę o tym, bo 80 rocznica urodzin Konrada Bielskiego przeszła właściwie bez echa. Pamięć ludzka jest krucha, ale chyba za bardzo?

Jerzy Wysocki z Lublina

CO Z TYMI LEKAMI?

Panie Redaktorze, widzi mi się, że trzeba szybko rozwiązać problem lekarstw. Nie jestem jeszcze emerytką, ale od dłuższego czasu choruję na serce i pewne leki są mi potrzebne jak powietrze. W jednej, drugiej, trzeciej aptece słyszę tylko „nie ma, nie ma, nie ma”. A u mego sąsiada, pana sześćdziesiętka, który jednak na serce nie narzeka, widziałem poszukiwane przez mnie tabletki. On ich nie używał, kiedyś znajomy lekarz przepisał mu je na wszelki wypadek. Uważam, że dla ludzi przewlekle chorych na serce leków nie powinno brakować, a

jeśli lekarze zapisują komuś medykamenty na zapis do postępującej nieuleczalnej. Druga sprawa. Inny mój sąsiad choruje, wiem o tym z pewnością, ale za lekarstwa ani grosza nie płaci. Też ma znajomego lekarza i ten píše na receptę nazwisko jego matki, emerytki. Nie są to wcale leki tanie, takie postępowanie lekarza i pacjenta stanowi jawne nadużycie. Nie wołam o nowe kontrole, jestem przeciwko biurokracji, ale nie mogę się też podzić z taką postawą. Za darmo to się bierze każdy lek, ale kiedy trzeba choć kilkanaście złotych za lek zapłacić, wówczas wyłania się problem, czy ten lek kupować? Pał licha, gdyby ich było w nadmiarze, ale jest, jak jest.

Niedawno z przerwaniem ujrzałam duży woreczek foliowy, który leżał w śmietniku. W środku tego woreczka znalazłam przeterminowane leki na serce, na żołądek, jakieś czopki. Była to cała apteczka. Serce się krajało, gdy na to patrzyłam. Co za beczyność i bezduszność!

Emilia M. z Lublina

(nazwisko i adres znane redakcji)

DLA KOGO O TEJ PORZE?

Droga Redakcjo, bardzo lubię Bohdan Smolonia. Ucieszyłam się, kiedy znów wystąpił w telewizji, ale o której godzinie! O 22.50 miał być ten program, ale się opóźnił i impreza skończyła się przed północą. Czy w Warszawie panowie dyrektorzy, panowie redaktorzy nie wiedzą, że połowa, jeśli nie więcej niż połowa, Polaków zaczyna pracę we wczesnych godzinach rannych? Ja nie cierpię na bezsenność, więc się przemęczyłam, ale w pracy czułam się następnego dnia jak śnięta ryba. Kabaret Olgi Lipińskiej powtarza się w niedzielne popołudnia, już mnie on nudzi, bo go zbyt często, i to po raz drugi, oglądam, a inny program do śmiechu Smolonia nadaje się w środku nocy. Kto tak mądrze planuje? Robią ludziom na złość, czy co, u licha?

Maria Rzepka z Puław

Listy do KAMENIA

O DNIACH BEZ NARAD

[...] Red. M. A. Jaworski w swoim notatniku poruszył problem, którym tak energicznie ostatnio zajęła się telewizja: chodzi mi o te dni bez narad. Województwa ustalają sobie na własną rękę, że np. narady mogą odbywać się tylko w poniedziałki i wtorki albo też w inne dni tygodnia. Moim zdaniem należałoby problem postawić inaczej: narady nie powinny się odbywać w godzinach pracy. Po południu, kiedy tylko nieeliczni muszą pracować — proszę bardzo! Oczywiście zadaje sobie sprawę, że mój pomysł nie da się zrealizować w wypadku, gdy uczestnicy przygotowywanej narady muszą przyjechać z terenu, bo wielu z nich musiłoby nocować w Lublinie, co też pociągnęłoby za sobą koszty, ale co stoi na przeszkodzie, by różne społecznie przeciwne pracujące gremia, złożone z zamieszkałych na miejscu, zbierały się nie o godzinie dziewiątej, dziesiątej, lecz piętnastej? Dlaczego o tej porze nie mogłyby się np. zaczynać sesje Miejskiej Rady Narodowej, dlaczego w godzinach popołudniowych nie mogłyby się zbierać rounting ci, których obowiązkiem jest kierowanie organizacją życia miasta, gminy, instytucji, etc? Często spotykam się z taką sytuacją, że w urzędzie nie mogę załatwić, bo wszyscy, kompetentni w danej sprawie, obradują, a po szesnastej nikogo już nie zastaję poza emudżonymi sekretarkami. I to nie kawałek.

Jan R.

(nazwisko i adres znane redakcji)

Bohater manipulowany

W WYWIADACH, jakich Feliks Falk udzielał w związku ze swoim najnowszym filmem „Bohater roku”, powtarzały się dwa stwierdzenia reżysera. Pierwsze — iż jest to film samoistny, nie będący — jak mogłoby się wydawać — drugą częścią „Wodzireja”, mimo że w obydwu głównym bohaterem jest beczelny, rzutki organizator estradowy Ludwik Danielak, grany przez Jerzego Stuhra. Drugie — traktowane chyba trochę z przymrużeniem oka przez samego Falka — że zrealizował „Bohatera roku” dla pieniędzy, pozazdrościwszy Juliuszowi Machulskiemu „sukcesu, wielkiej widowni i niemałej fortuny”. Cieszył się swego czasu „Wodzirej” i jego bohater tak dobrym wzięciem u widowni, postać Danielaka tak zapadła w pamięć publiczności, że może warto było ukazać ją na ekranie jeszcze raz...

Zarówno w pierwszym jak i w drugim przypadku stwierdzenia Falka wydają się gołosłowne. Oczywiście „Bohater roku”, ta opowieść o Danielaku, starszym o dobrych kilka lat, wpisanym w nieco inny krajobraz, a w zupełnie już inną, niż w „Wodzireju”, rzeczywistość polityczną, jest filmem samodzielnym, nie mającym znamion kolejnego „odcinka” rodem z telewizyjnego serialu. Ale — czy tego reżyser chce czy nie chce — „Bohater roku” przyjmowany jest przez widzów jako dalszy ciąg tamtej filmowej opowieści, jako drugi rozdział życia pewnego małego, choć nie pozabawionego prawdziwego talentu w swojej specjalności, kombinatora i szubrawca; i zupełnie nie rozumiem, co w tym miało być złego, czy „deprecjonującego” ten drugi film?

Danielak z „Wodzireja” to jeszcze, w sensie profesjonalnym, plotka nurkująca zwinnie w met-

nych wodach prowincjonalnego środowiska estradowego, próbująca — za każdą cenę — wypłynąć na wysoką pozycję na fali „propagandy sukcesu”, co zresztą kończy się klęską. Lecz przegrana Danielaka w „Wodzireju” ma jeszcze wymiar „incydentalny”: w kulminacyjnym momencie drugoplanowy „bohater pozytywny” wkracza na plan i jednym uderzeniem pięści, niczym w westernie, straca z piedestału „bohatera negatywnego”. I Danielak nie rozumie jeszcze, „za co” spotkała go ta wielka „krzywda” — przecież, on tylko zdradził kolegę po fachu! W „Bohaterze roku” klęska przedsiębiorczego cwaniaka jest wielokrotnie większa: zdaje on sobie sprawę z faktu, że nie tylko został „wymanipulowany” przez określony układ ludzi z odmiennego niż w „Wodzireju”, i o wiele bardziej „centralnego” kręgu (podczas gdy zdawało mu się, że to on manipuluje zresztą wynalezionym przez siebie człowiekiem, „bohaterem roku”). Co więcej — zdradził sam siebie, resztkę tego wszystkiego, co w nim jeszcze pozostało dobre. Tak więc refleksja nasuwająca się w związku z obecną przegrana Danielaka jest o wiele bardziej gorzka, bardziej głęboko sięgająca w ocenę otaczającej go rzeczywistości, niż w wypadku „Wodzireja”...

A jednak „Bohater roku” ma przecież, w ostatecznym wymiarze, wymowę pozytywną: Danielak wprawdzie kolejny raz okazał się małym, niedzielnym człowieczkiem, nie potrafiącym pojąć, że istnieje, i istnieć musi w życiu, coś ważniejszego, nie przeliczanego na złotówki, niż codzienne, doraźne cele osiągane kosztem wyrzeczenia się własnej godności — ale zupełnie odmiennie przedstawia się sprawa w wypadku innych bohaterów filmu. Ani tytułowy „Bohater roku”, Zbigniew Tataj, pracownik Domów Towarowych „Centrum”, kreowany przez mocodawców Danielaka na „estradową osobowość”, która ma być (jako tak zwany prosty człowiek, walący prawdę w oczy) swoistym „wentylem” rozładującym napięcie społeczne, ani tancerka Majka, marząca o baletowej karierze, nie zgodzą się nigdy na przekroczenie pewnych barier moralnych i etycznych.

Podobnie jak w „Wodzireju” akcja „Bohatera roku” toczy się — choć nie tylko — w środowisku muzyków, prezenterów, tancerzy i aktorów e-

stradowych, ukazując je często w sposób satyryczny, a nawet wręcz złośliwy. Falk wraz ze Stuhrem, jak chyba nikt z polskich filmowców, znają i rozumieją ten świat. A Feliks Falk, jak żaden z naszych reżyserów, potrafi w sposób tak drapieżny i tak dynamiczny pokazać go na ekranie. W „music-halowych” filmach Rzeszewskiego aktorzy „odgrywają” często plaskie, papierowe postaci „gwiadz piosenki” lub słynnych konferansjerów; u Falka zadziwia autentyczność i pasja, z jaką często ci sami aktorzy wcielają się w kreowane przez siebie role.

„Estradowe” filmy Falka („Wodzirej” i „Bohater roku”) cechuje niezwykła dynamika i rozmach, a ze względu na osadzenie ich akcji w określonym środowisku, można by powiedzieć, że są one w jakimś tam stopniu filmami „rozrywkowymi”. Ale liczyć na tak szeroka publiczność, na podobny „sukces”, co filmy Machulskiego, nie mogą.

Nie mogą choćby dlatego, że ci dwaj reżyserzy, to zupełnie inne osobowości twórcze. Kino Machulskiego (przynajmniej, jak dotąd) to inteligentna, błyskotliwa komedia, to „zabawa” przedstawionym na ekranie tematem, z lekkością i wdziękiem, choć nie bez — jak w wypadku „Sekamisi” — mocno satyrycznych wobec tego, co się dzieje wokół nas, aluzji. Kino Falka, dynamiczne i ekspresyjne, pełne pasji, sięgające niejednym raz do satyry i do gorzkiej, ironicznej komedii, jest przecież zawsze przede wszystkim — sztuka o zacieciu publicystycznym. Falk posługując się swobodnie językiem „paradokumentu”, wrażliwy i wnikliwy obserwator współczesności, nie potrafi się jednak w swoich filmach wyżyć pewnego ładunku dydaktyzmu, ryśowania pewnych sytuacji zbyt wyraźnym konturem, nieraz „wybielając” lub „wycierając” swoich bohaterów. I tak też jest w wypadku „Bohatera roku” (filmu, który skądinąd zupełnie słusznie otrzymał na ostatnim gdańskim festiwalu filmowym „Srebrne Lwy Gdańskie” za reżyserię). Tak było w „Szansie”, a także — w „Był jazz” i w jakimś sensie — w „Idolu”. A czego nie odczuwało się właśnie w „Wodzireju”.

Falk pragnie widzami wstrząsnąć, Machulski — poprzez śmiech uodpornić ich na przeciwności otaczającego świata. Która z metod jest lepsza?

M.D.

Filmy znalezione na śmietniku

Dokończenie ze str. 5

Państwo X lubią wycieczki. Chętnie wyjeżdżają do podmiejskich lasów samochodem; spacerują wśród sosen, panie — pozują do zdjęć, w całkiem skąpych, jak na tamte czasy, kostiumach kąpielowych. Państwo X wyjeżdżają także nad morze; panie „szaleją wśród fal”; w tle — długie drewniane moła, przypominające moła w Juracie. I tam pojawiają się w filmowym kadrze oficerowie. W pewnym momencie obiektów wychwytuje oficer marynarki wojennej w niepokalanie białym mundurze, z kordzikiem wiszącym na długich rapciach, wchodzącego do pensjonatu, gdzie zapewne zatrzymali się państwo X.

Trzeba jednak podkreślić, że najbardziej państwo X lubią jednak góry. Zakopiańskie krajobrazy są bardzo częstym motywem zdjęć filmowych. Pani X także jeździ na nartach, ale znacznie słabiej od pana X. Latem rodzina chętnie wyjeżdża do Krynicy, zatrzymując się w pensjonacie „Mimoza”. Tym samym, który stoi do dzisiaj przy zbiegu ulic Pułaskiego i Swidzińskiego. Oczywiście — codziennie wizyta w pijalni wód zdrojowych, a potem — spacer na deptaku i krótka lub dłuższa pogawędka na ławeczce z jednym lub drugim znajomym w mundurze wyższego oficera wojskowego. Raz jest to major, innym razem — pułkownik.

Wygląda na to, że wracając z Krynicy państwo X zaplanowali zwiedzanie Krakowa: oglądamy na ekranie Bramę Floriańską, Sukiennice, pomnik Mickiewicza, Wawel, krakowskie ulice z kursującymi wolno tramwajami. A może przyjechali zaproszeni tutaj na wielką imprezę odbywającą się na krakowskich Błoniach, z udziałem licznych oddziałów wojskowych? Imprezę wyglądającą na ostatni w II Rzeczypospolitej Zjazd Legionistów? Pana X rzadziej tutaj widzi się

na ekranie; kamera zwrócona jest przede wszystkim na tłumy widzów (w tle — Kopiec Kościuszki), na wyciągnięte jak struna szpalery żołnierzy. W pewnym momencie pojawia się w kadrze wspaniała czarna, lśniąca, odkryta limuzyna. A w niej Marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły.

Rusza wojskowa defilada. Za nią — pochod: na czele — grupa generałów, później — oddziały złożone częściowo z oficerów w mundurach galowych, częściowo — z cywiliów; na przedzie każdej grupy widnieją niesione wysoko, na drzewcach, wielkie odznaki pułkowe. Wreszcie — szeregi mężczyzn i kobiet w krakowskich strojach...

Czy pan X był w gronie maszerujących czy też stał gdzieś w pobliżu marszałka odbierającego defiladę? Jedno jest pewne: nielato było znaleźć się wówczas, z amatorską kamerą, właśnie w tym miejscu, z którego były robione interesujące nas zdjęcia, jeżeli nie towarzyszyło się komuś, przed kim otwierały się z łatwością bramy i kordony...

Zimą pan X jeździł na nartach dla własnej przyjemności, ale wygląda na to, jakby był także „fiszą” wśród organizatorów imprez sportowych na szerokiej skale; na jednym z filmów widzi go wśród grupy mężczyzn w eleganckich futrach, zgrupowanych przy mecie jakiegoś biegu narciarskiego. Wygląda to na zakrojone na szeroką skalę zawody wojskowe. Wśród mężczyzn, stojących obok meły — generał, kręcący się w pobliżu liczni oficerowie, porządku pilnują wojskowi w rogatywkach i jasnych, długich do ziemi, kożuchach... Kiedy indziej widzimy pana X na tarasie niewielkiego górskiego schroniska, na którego frontowej ścianie widnieje wielki napis: „Liga Popierania Turystyki”. I tutaj też, jednym z dwóch towarzyszących panu X mężczyzn, jest oficer w generalskim mundurze...

A potem znowu: zima, śnieg, słońce nad Kasprowym i narciarze kręcący ślalom; w górę, ponad świerkami, pnie się ucepczony stalowej liny, mały wagonik z wymalowanymi literami: P.K.L. — Polskie Koleje Linowe.

Można snuć różne domniemania, kim byli państwo X i ich rodzina. Czy pan X rzeczywiście zajmował jakieś poczesne stanowisko w hierarchii państwowej, czy też jego kontakty z licznymi oficerami wysokiej rangi wynikały z koneksji rodzinnych lub po prostu — z układów towarzyskich? W każdym razie nie była to przeciętna rodzina, nieprzeciętnie też byli ci ludzie zamożni. Żyli na szerokiej stopie, lubili sport, turystykę, wypoczynek. Jest bardzo prawdopodobne, że mieszkali w Warszawie (szpulki filmów oznaczają się napisem: „Kodak-Warszawa”; wskazuje to na lokalizację przedstawicielstwa handlowego, miejsce, gdzie taśmy filmowe były kupowane i — zapewne także: wywoływane). Na jednym z ujęć pan X czyta w Krynicy „Gońca Warszawskiego”, gazetę z warszawskiego konsernu „ABC” rywalizującą z „rewolwerowymi” stołecznymi „czerwoniakami”. Oczywiście, mógł wpaść mu „Gońiec” w ręce przypadkowo; natomiast zdjęcie to dowodzi, że film nakręcony został nie wcześniej niż w 1935 roku, bo właśnie wtedy to pismo zaczęło się ukazywać.

Większość filmów znalezionych na sandomierskim śmietniku pochodzi z dwóch ostatnich przedwojennych lat. Widoczne na nich obiekty: kolejka linowa-terenowa na Górę Parkową w Krynicy została zbudowana w 1937 r., zaś kolejka na Gubałówkę w Zakopanem oraz budynek obserwatorium na Kasprowym Wierchu — w roku 1938.

Warto też zwrócić uwagę na napis „Liga Popierania Turystyki” oraz skojarzyć z tym fakt częstego pojawiania się pana X wśród ludzi wyglądających na organizatorów i „oficjalnych reprezentantów” imprez sportowych w gó-

rach. I w ogóle — z jego częstymi odwiedzinami miejscowości wycieczkowo-sportowych. Liga Popierania Turystyki miała m.in. na celu gromadzenie funduszy na rozbudowę, remonty i budowę zupełnie nowych schronisk turystycznych, szczególnie w górach, wspierając działalność Polskiego Towarzystwa Turystycznego i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. M.in. Liga wydawała — przy udziale Polskich Kolei Państwowych — książeczki-folery o miejscowościach godnych zwiedzenia, do których można dobrać koleją (autorem takiej właśnie książeczki zatytułowanej „Lublin”, był znany lubelski historyk dr Stefan Wojciechowski). Fundusze na popieranie turystyki czerpano z dotacji prywatnych, wciągając do Ligi — na zasadzie „pozytywnego snobizmu” — krajowych finansistów, przemysłowców, bogatych kupców oraz ziemian, którzy „świadczili” na rzecz rozbudowy schronisk odpowiednie dla ich pozycji sumy. Być może, pan X działał w Lidze jako jedna z takich właśnie ustosunkowanych osób.

Pozostaje także otwartym pytaniem skąd wziął się nesesor z ukrytymi w nim filmami, właśnie na śmietniku w Sandomierzu? Czy został porzucony w czasie ucieczki państwa X w kierunku Rumunii jesienią 1939 r.? Czy może ktoś z rodziny pana X mieszkał, lub ukrywał się w Sandomierzu podczas okupacji, a potem zmarł, zaś spadkobiercy nie wiedząc o tajemnej skrytce po prostu wyrzucili zniszczoną walizkę na śmietnik?

Ostatecznej prawdy o filmach znalezionych w starym sakwojażu i o ludziach, których na nich oglądamy, dowiemy się, gdy ktoś ze znajomych państwa X odpowie na apel telewizji. Należy zatem czekać na właściwe zakończenie.

Mirosław Derecki

PS. Skądinąd dla autora tego reportażu sprawa „filmów z Czermina” miała swój bardzo swoisty finał. Oto okazało się, że nauczycielka z Garbowa, pani Jolanta Ponikowska, jest synową mojego kolegi z tego samego roku studiów dr. Józefa Poniakowskiego, z którym od prawie trzydziestu lat nie miałem kontaktu. A okazało się, że on cały czas pracował tuż pod Lublinem, a teraz mieszka na LSM.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jądziński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator).
Redaktor techniczny — Ewa Ovska korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu we wtorki w godz. 14-18.
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKW w Lublinie ul. Unicka 1.
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Adres redakcji: 20-028 Lublin ul. Skłodowskiej 21.
Telefony sekretariat redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 210-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-050 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

MIŁOŚĆ MU DAŁA...

Ludwik Puget

PODZIAŁ CNOTAMI

Miłość mu dała, wiare mu dała,
Więc przy nadziei sama została.

Franciszek Dionizy Kniaźnin

MIŁOŚĆ I WIERNOŚĆ

Co niegdą z sobą pięknie się spoiliu,
Wierność i miłość rozdział uczynili.
Jest bowiem wierność podejrzana wszędzie,
Gdziekolwiek miłość podejrziwa będzie.

Jan Kochanowski

NA NABOŻNĄ

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,
Czego się, miła, tak często spowiadasz?

Stanisław Jerzy Lec

DO PAMIĘTNIKA

Jeśli by poeci, którym się oddałaś,
W wierszu ku pamięci oddali oddanie,
Powstałaby z tego antologia cała.
Jaka rządzi dziś tylko wudać bulbu w stanie...

Już by gad zawiści — co żre dziś — nie żart nas
I literatury bulbu to święto.
W antologii bulbu caluteńki Parnas
(A brakłoby tylko — kilku impotentów).

Janusz Minkiewicz

SŁODKA TAJEMNICA

Gdy noc zapadła głucha
I ciemność już była w kurniku,
Kura szepnela: „Słuchaj!”
Budząc koguta po cichu.



Rys. Józef Tarłowski

„Głos wprost zamiera mi w gardle
I wszystko zdaje się baika,
Bo słodka mam tajemnicę:
Słuchaj!
Będziem
Mieł Jajko!!!”

Wespazjan Kochowski

O KORNUTACH NA ŻONACH

Często niewinne żony małżonkowie winia,
Ze im rogi na łbie jak Saturnom czunia.
Lecz każdą swojej spota, więc tak mu odpowie:
Niech będzie róg, gdzie trzeba, nie będzie na
głowie.

Felicjan Faleński

Mniej grzeczni Medrcy przedwiekowemu
Drżeli przed słabszej płci urokiem,
Bo w przekonaniu ich ołobokiem,
Ma słuszność kto się zastanowi:
Ze już pierwszemu człowiekowi
Kobieta weszła bokiem.

Jan Andrzej Morsztyn

PRZYJACIÓLKA

Taką dziewczynę lubię do zabawy,
Co się nie strzeże, nie wgląda w me sprawy.
Wnet się powadzi, wnet pojedna zasię.
Czując, że przecie wiem coś na sie.
Niech mi się nazbyt cnotliwą nie czumi
I niech upiornych odmów mi nie czumi.
Niech będzie oładka żartem się nie brzudzi
Dać się oblać przy ludziach nie wstydzi.
Bo jeśli będzie czysta, bojaźliwa,
Dbała na sławę, zazdrośna, wstydliwa,
Do tej się serce moje nie przysiedzie,
(Brzydka i wspomnieć) już ta żona będzie.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

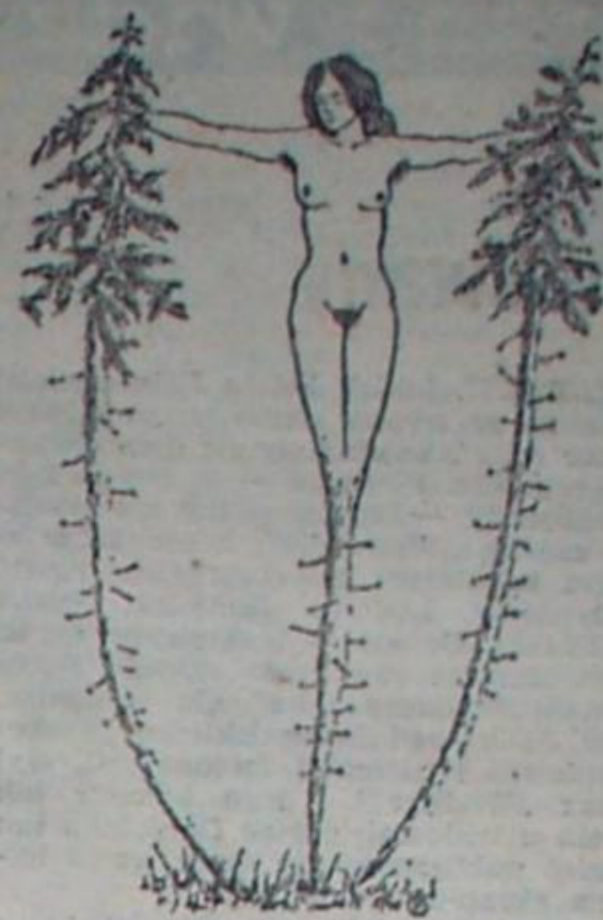
ZUZANNA

Zuzanna obnażyła się
I weszła do kapieli.
A siwowłosi starcy dwaj
Za pniami drzew staneli.
I napawali oczy swe
Wdziękami cnei Zuzanny.
Które lubieżnie plescił nurt,
Nurt przezroczyści, szklanny.
Wzanie, gdy uszła ich.
Zał zdjął rumieńce z twarzy.
Nurt bożiem przezroczyści był.
A starcy bardzo starzy.

Tadeusz Hollender

RODZINA

Gdy do raz pierwszu w dom ten wchodził,
Ktoś z bywalej tutaj młodzi
Tak mi rzekł o domu tym:
„Matka k..., tato złodziej”.
Rzekłem: „Sun mnie nie obchodził,
ale córkę poznałbym!”



Rys. Zygmunt Pytlak

Julian Tuwim

PO USZY

Cenie urok jej wutwornej duszy,
Czar, subtelność i mnóstwo kultury.
Zakochany w niej jestem po uszu
(Oczywiście: mierząc od góry).

Benedykt Hertz

CZTERY RODZAJE MIŁOŚCI

Gdy się w madrej kocha głupi,
Obietnicą jej nie kupi,
Ledwie szepnie: „Ja cię lubię” —
Już wo ślubie.

Gdy się głupia w madrum kocha,
On jest lajdus, ona — płocha.
Zmuka on, zostaje ona —
Uwiedziona.

Gdy się madru z madra spotka,
Chwila im upłynie słodka:
A gdy czas te słodność nadje,
Mówią: „Adie”.

Jeśli głupi sa oboje,
Zaraz wiersze i nastroje...
Ona marzu... „Lubu... weź mnie”...
A on nie śmie.

Kazimierz Andrzej Jaworski

PRZYKŁAD

Na podwórzu tyle kur,
przy nich tylko jeden kur,
każda kura jemu rada,
choć wie że zaraz zdrada.
Ale kuru — postępowe:
kogut ma w porządku głowe,
nikt mu nie tarmosi piór.
Bierzcie, panie, przykład z kurl!

Krzyżówka nr 5 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im numery odczytać rozwiązanie — fragment powieści, której tytuł utworza pierwsze litery siedmiu początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

WYRAZY POMOCNICZE

- może drożej kosztować — 1, 17, 76, 30, 28, 98.
- żona Klaudiusza, która go otruła — 11, 149, 7, 109, 122, 20, 65, 42.
- szyla nią kręci — 23, 10, 51, 8, 22.
- rozpęd — 5, 35, 9, 27, 147.
- bywa na loterii — 110, 19, 94, 31, 103, 151, 111, 79, 6.
- rzymski odpowiednik Erosa — 2, 92, 34, 44.
- dział, zakres, sfera — 18, 45, 26, 56, 33, 60, 81, 96, 156.
- na powiece i stawie — 63, 78, 123, 68, 154.
- naturalny ul — 83, 32, 129, 14.
- strona świata — 108, 49, 101, 95, 128, 77.
- ukrop — 132, 59, 120, 40, 52, 86, 12.
- na niej trawa — 21, 48, 53, 140.
- robi nici — 4, 36, 75, 97, 43, 47, 64.
- lwi otwór gębowy — 29, 87, 134, 102, 119, 84, 114.
- do pokraszenia — 72, 104, 67, 117, 69, 135, 99.
- pracowity owad — 50, 93, 118, 15, 146, 150, 137, 13.
- miasto na Kujawach z dużą cukrownią — 139, 16, 144, 113, 82, 106, 130.
- stał na czele wojsk w dawnej Polsce — 112, 148, 155, 57, 37, 41.
- państwo na wyspach — 3, 138, 62, 89, 115, 153, 121.
- pies myśliwski — 126, 133, 131, 91, 55.
- akcja — 142, 100, 70, 58, 54, 124, 85, 105.
- rysunek terenu — 145, 74, 88, 125.

23. płyną z oczu — 141, 25, 61.
 24. moczą je wędkarze — 80, 127, 39, 107.
 25. w Wielkich Antylach — 136, 71, 66, 90, 143.
 26. w lesie i w parku — 24, 73, 38, 46, 152, 116.
- Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Do rozlosowania bon książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Przystosowując mairzenia do życia, tworzyłem własną etykę, która stawiała się umiejętnością doskonałego użytkownika samego siebie za sprawą pełnego inteligencji przynusu.

André Gide — „Immoralista”

Nagrodę otrzymuje Danuta Tomaszewska, ul. Kopernika 6 m. 9, 21-040 Świdnik

	1	2	3	4	5	6	7	8		9	10	11	12	13	14	
	15	16	17	18	19	20	21	22		23	24	25	26	27	28	
	29	30	31	32		33	34	35		36	37	38		39	40	
	41	42	43		44	45	46	47	48		49	50	51	52	53	
	54	55	56	57		58	59	60	61		62	63	64	65	66	67
	68	69	70	71	72		73	74	75		76		77	78	79	
	80	81	82		83	84	85	86		87		88	89	90	91	92
	93	94	95	96	97	98		99	100	101	102	103	104	105		
	106	107		108	109	110	111	112	113	114		115	116		117	118
	119	120	121	122	123		124	125		126	127	128	129		130	131
	132	133	134	135	136	137	138		139	140	141	142	143	144	145	
	146		147	148	149	150		151	152	153	154	155	156			